

# Nie mów prawdy w oczy?

Słowo daję, że nie wiem od czego zacząć. Mogłbym, na przykład, rozpocząć od niezwykle ważnej sprawy plotu w miasteczku Piatek, albo przedstawić arcyzabawną historię radomszczańskiego hufca pracy, który wysłano na grzybki zamiast do przyzwolonej roboty, mogłbym też opowiedzieć smutną historię młodego racjonalizatora, który nie zdołał zrealizować

cennych wynalazków, a podwyżki pensji także nie dostał. Albo opowiedzieć o niezwykle metodach wychowawczych, jakie stosowano bardzo temu niedawno, bo w ubiegłym roku szkolnym, w jednej ze szkół leżących. Mogłbym, ale waga tematu przeszkadza. Ten artykuł ma przecież mówić o działalności ZMS na terenie naszego województwa.

Skoro więc nie wypada

rozpocząć od anegdot, to od czego wypada? Przyszło mi w tym momencie na myśl, że skoro każdy szanujący się referat składa się z pochwał i krytyki, niby dlaczego ja mam być gorzszy?

## GORĄCE SERCA I ZIMNE GŁOWY

Statystyk; za rok ubiegły podają, że ZMS w województwie łódzkim rozwija się harmonijnie. Posiada bowiem

Dalszy ciąg na str. 2

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. Nr 33 (233)

Łódź, 19 V. II. 62 r.

Cena

1 zł



Kulturalną atrakcją sezonu wczasowego na Wybrzeżu była w tym roku wystawa współczesnej polskiej tkaniny artystycznej, urządzona w pawilonach CBWA w Sopocie. W czasie zwiedzania wystawy nasz przedstawiciel „odpadł” Komisarza tej wystawy, mgr Krystynę Kondratiuk i „uciął” z nią rozmowę, której tekst znajdziecie na str. 2.

EWA OSTROWSKA

# Ucieczka od sutanny

Tak, moja sprawa stała się bardzo głośna w całym chyba województwie łódzkim. Najpierw wstrząsnęła małym M., później zatonęła szeroki krąg po powiecie łaskim i już bez przeszkód poszła w świat. I nagle ludzie zaczęli opowiadać między sobą: ksiądz zrzucił sutannę! Szok dla wielu. Rozpleł się opowieści, niemal jak z tysiąca i jednej nocy. Każda w innej wersji. Ile ja nasłuchałem się o sobie samym zupełnie przypadkowo: w pociągach, w autobusach, na ulicy. I właśnie wtedy, patrząc na twarze ludzi, opowiadających

o mnie, myślałem, że mam szczęście. Wyjątkowe — powiedziałbym. Gdyby był teraz inny czas, a nie ten — ukamienowałoby mnie. Wymierzaliby w imieniu boskim ludzka sprawiedliwość. Za moje sprzeniewierzenie się przysiędze. Za odszczerpienie. Za zdradę.

No, nie wszyscy, oczywiście. Aż tak źle nie jest. Ale jeszcze jest źle. W kłopotliwej sytuacji znajdują się moi znajomi. Co prawda, namnożyło się ich, niezmiernie dużo — zmieniając miejsce zamieszkania, szukając pracy, wszę-

Dalszy ciąg na str. 6

26 listopada 1961 roku ukazał się na łamach „Odgłosów” artykuł w którym autor wyrażał, co następuje:

„Centralizm telewizyjny jest to nikt nie bliżej nie wyłożona doktryna, która zakłada, że jedynym ośrodkiem telewizyjnej wiedzy i rozważań w przedmiocie, jako też jedynym źródłem wpływających na autora łask, może być jedynie stolica”.

A dalej:

„Ewentualne rozmowy z regionalnym reżyserem czy redaktorem, nosić będą zawsze charakter prawie że prywatny — może on bowiem co najwyżej, zadeklarować że rzecz mu się podoba i że zostanie przedstawiona gdzie należy; w ten sposób w oczach autora reżyser zmienia się nagle w dojrzalszego wiekiem gońca, czy kuriera dyplomatycznego”.

Mijały miesiące. My konsekwentnie pisaliśmy swoje. Komitet do Spraw Radia i Telewizji również konsekwentnie robił swoje (utrzymując zresztą, co wynikało z wypowiedzi dyrektora Pańskiego, że robi dobrze), aż w końcu maja bieżącego roku odbyła się w Katowicach narada redaktorów naczel-

JERZY PANASEWICZ

# W POSZUKIWANIU 15 proc. programu

nych ośrodków regionalnych oraz przedstawicieli komitetów wojewódzkich PZPR, na której sformułowano szereg postulatów pod adresem centralnych władz polskiej telewizji. W tym, oficjalnym bądź co bądź dokumencie, czytamy między innymi: „Redaktor Naczelny Ośrodka Terenowego... w zakresie działania na arenie ogólnopolskiej występuje wobec zespołu Programu w roli penta; a wobec współpracowników (autorów, wykonawców) w roli pośrednika bez uprawnień”.

Znamienna zbieżność! Już nie tylko, być może poniesiony temperamentem, poszczególny publicysta, ale także bezpośrednie odpowiedzialni za program i two-

rzacy go na co dzień, znaleźli się tu w pewnej — ogólnie mówiąc — opozycji wobec niektórych przynajmniej koncepcji reprezentowanych przez Komitet do Spraw Radia i Telewizji. A przecież punkty zapalne w stosunkach między ośrodkami regionalnymi a Warszawą, nie sprzeczają się jedynie do spraw kompetencji dyrektorów Ośrodków Terenowych! Jest ich o wiele więcej i wydało się nam, że byłoby może pożytecznym wyznaczyć je możliwie precyzyjnie, z odrzuceniem na bok lokalnych patriotyzmów i mocną wolą proponowania kompromisowej formuły.

Stąd na przestrzeni ostatnich miesięcy opublikowaliśmy cały szereg artykułów

dotyczących stosunków Warszawy — teren, sytuacji w ośrodkach regionalnych — i to nie tylko w ośrodku łódzkim, ale również w szczecińskim, poznańskim i gdańskim — spraw programowych i tak dalej i tak dalej. Niezależnie od tego przedstawiciel naszej redakcji zapukał do bram Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, miał między innymi możliwość rozmawiać z wiceprezesem Komitetu — Andrzejem Walatkiem — i z takim to właśnie rozeznaniem przystępujemy do kreslenia niniejszych uwag, które jeśli

Dalszy ciąg  
na str. 4



17.351 członków w zakładach pracy, a więc robotników, 11.208 młodzieży szkolnej, 2.377 w instytucjach i urzędach, 1.665 w spółdzielniach pracy, reszty można nie liczyć, bo to bardzo małe liczby. W sumie ponad 34 tys. ludzi, a więc, jeśli to nie jest tajemnica wojskowa — dwie dywizje z małym hakiem.

Lecz co ta zorganizowana armia znaczy w życiu województwa? Rozumienie, pytanie zbyt ogólne. Rozważmy tedy najpierw zagadnienie bardziej szczegółowe: co znaczy w zakładach pracy od Wieruszowa, aż po Rawę Mazowiecką młodzież ZMS-owska? Pije czarną kawę, tańczy do upadłego w klubach, gapi się w telewizory i urządzi quizy? Model ZMS-owca w zakładach pracy na terenie naszego województwa przedstawia się zupełnie inaczej. Na mój gust jest to model skrojony zbyt surowo. Widać w nim przede wszystkim, a może jedynie — ZMS-owca w mundurze, służbowego, który troszczy się o dobro produkcji. Jest to zresztą widok wrzuszający na swój sposób i cenny. Proszę pomyśleć — nasz wojewódzki ZMS zorganizował 15 tys. swoich członków (na 17 tys. z groszami) w 872 brygadach współzawodnictwa pracy. Niebagatelna rzecz! Przecież cokolwiek da się powiedzieć o dawnych mankamentach ruchu współzawodnictwa musimy lepiej i szybciej produkować, inaczej będzie bieda. Czy nie tak? Rzecz niebagatelna tym bardziej, że inicjatywę gospodarczą ZMS-owców, poparte ruchem współzawodnictwa przyniosły już efekty produkcyjne, wynoszące około 200 mil. złotych ponad plan.

Dowiedziałem się szukając danych o pracy młodzieży w fabrykach, że serca nie wystygły. To nie jest tak jak powiadają niektórzy starsi panowie, ważni i decydujący — dać młodemu bęben, czynne, dwie trąbki i karciecia do gry, a załatwimy problem młodzieży w naszym zakładzie. Teraz taka moda — świetlica w pikasy, konkurs tańca, odczyt o wychowaniu seksualnym i można odjąć kawałek zagadnienia ZMS-u. No, ale pewnego razu (ubiegłego roku) zawałił się plan w Łęczyckich Zakładach Górniczych, a raczej groził zawałowaniem. Ten i ów z administracji zwinął już chorągiewkę, powiedział „leżocha”, a chłopaki z ZMS-u — nie. Brygada Cichockiego, Piaseckiego i Pawłowskiego „poszła na zagrożony odcinek”. Zupełnie jak w schematycznej powieści — plan zagrożony, a oni po kolana w wodzie ratują plan. Woda leje się na głowy, niektórzy komunisci nie wierzą w powodzenie, a oni uratowali. Dyrektor porządził się z radością jak bóbr, jeszcze tylko sztandar wręczyć, przysłać z podziękowaniami kogoś z bardzo wysokiego szczebla i można kończyć opowieść.

Ze sztandarami i podziękowaniami dziś jest trochę gorzej, ale reszta to szczerza prawda. Zinną głową obliczyli możliwości, gorące serca podyktowały bardzo wrzuszający czyn. Ale róże kwitną jeszcze z kolcami, dopiero w komunizmie kolewka ma nie być. Zapewne, nasza robotnicza młodzież specjalnie romantyczna nie jest, ale chce być prawdziwym współzawodnicą zakładu pracy, chce być równym partnerem, no bo w końcu ten młody pracuje jak stary. Tylko, że to wcale nie jest takie łatwe. Jeżeli ZMS-owcy są bardzo często inicjatorami współzawodnictwa, to tego nie można powiedzieć np. o niektórych terenowych ogniwach Związku Chemiczków, czy Metalowców. Opieszali, bałaganiarze niewłaściwie oceniają pracę brygad, nawet regulaminów współzawodnictwa nie raczą porządnie opracować, bardzo straszni faceci. Poeta nazywa taką robotę podcinaniem skrzydeł. W Kutnowskich zakładach L-15 rozwiązano nie wiedzieć w jakiej przyczynie młodzieżowe brygady współzawodnictwa, podobnie w zakładach im. Piecka. Trzeba było dobrze się nabieścić, żeby choć część brygad postawić z powrotem na nogi. A przecież ci młodzi kolejarze z Kutna, robotnicy sieradzkiej SIRY, zdunsko-wolskiej „Fakroby”, Zakładów Bawelnianych i Środków Opatrunkowych z Pabianic, ci młodzi robotnicy ze Zgierza, Radomska, Piotrkowa, czy Łęczycy naprawdę proponują dobrą, solidną robotę.

Nie mogę sobie odmówić kilku złościwości w związku z ruchem racjonalizatorskim. To jest ZMS-owskie oczko w głowie. Jeden z robotników radomskich zakładów

metalowych im. „Komuny Paryskiej” powiada: „Nie ma takiej atmosfery, która sprzyjała wprowadzaniu, wdrażaniu młodych ludzi do pracy, nie ma atmosfery do tego, żeby mogli oni swoje kwalifikacje uzupełniać przy pomocy doświadczonych inżynierów i techników”.

Dobrze wie, co mówi ów ZMS-owiec. Młodzież ma nie tylko gorące serca i zimne głowy, ale także bystre oczy. Trudno zresztą nie zauważyć oczywistych faktów. Młody technik, zdolny i obiecujący miesiącami daremnie szuka chłopców skromnej kawalerki w Radomsku, a zakłady dają piękne mieszkanie inżynierowi, który ma drugie w Warszawie, a jest samotny. Albo — młody technik składa 12 sensownych wniosków racjonalizatorskich. Wnioski, i owszem, budzą zainteresowanie, ale do realizacji droga daleka. Racjonalizator to cenny nabytek, jeżeli podzieli się premią, albo niebezpieczny konkurent, jeżeli nie chce się podzielić. Tak więc nasz technik z „Komuny Paryskiej” nie doczekał się realizacji pomysłów, obiecanej podwyżki także nie. Pracuje spokojnie gdzieś indziej, w gólskim Przedsiębiorstwie Maszyn Rolniczych.

To są te, drobne na pozór, przyczynki do ogólnej atmosfery, w jakiej startuje młodzież na terenie wielu zakładów pracy. Komitety racjonalizacji bywają fikcją — mówi ZMS-owiec z Oddziału Trakcji PKP w Piotrkowie. „Wnios-

## Nie mów prawdy w oczy?

ki wychodzące z dołu, traktowane są po macoszemu, wprowadzane latami, nie płaci się za nie, co zniechęca ludzi i jest powodem rezygnacji ze strony wielu racjonalizatorów” (ZMS-owiec z Pabianickiej Fabryki Narzędzi). „Niejednokrotnie zdarza się u nas, że jest wniosek racjonalizatorski, który angażuje całą grupę ludzi — jest wprowadzony w życie i pracownicy, którzy wykonali zadania związane z wnioskiem, którzy się dużo napracowali, jak idą po pieniądze do kasy, widzą przed sobą na liście całą masę osób, których nie widzieli przy realizacji tego wniosku...” (członek ZMS z Łęczyckich Zakładów Górniczych).

Młodzież ma tedy bystre oczy, widzi wszelkie zło, ale mnie chodziło o co innego: droga do roli współzawodniczą zakładu, główna droga, którą chce kroczyć nasza wojewódzka organizacja ZMS, wcale nie jest gładka. Co gorsza, tego rodzaju atmosfera osłabia tętno życia politycznego i umysłowego młodzieży robotniczej. Po co ruszać głową, jeśli kto inny wyłożył rękę? Po co się gwałtownie doskładać, jeśli los technika może odstraszyć? Myślę, że część niepowodzeń w ZMS-owskiej akcji szkolniowej stała właśnie bierze swój początek. Oczywiście, przyczyn jest więcej. Jeszcze długo trzeba będzie popracować nad Wieczorowymi Szkołami Aktywu i zetemesowskimi Uniwersytetami Robotniczymi, bo to i programy nie zawsze dostosowane do potrzeb, kadra wykładowców bardzo rozmaita, ale pęd do samokształcenia widać coraz wyraźniej, co trzeba zapisać na duży, bardzo duży plus Komitetu Wojewódzkiego, Powiatowych i Miejskich.

Napisałem na początku i wcale tego nie cofam — model ZMS-owca z fabryki jest zbyt surowy. To zresztą widać w całym kraju, jak sądzę. My tę młodzież naprawdę widzimy w czerwonym fraku — przy pracy i tylko przy

pracy, ewentualnie jeszcze przy podnoszeniu kwalifikacji. Bicie norm, podnoszenie, ulepszanie organizacji, odpowiedzialność za zakład — bardzo to cenne zalety. Mało jednak tej młodzieży na obozach, niewiele o niej mówimy w zestawieniu ze słońcem, wodą, zabawą, dobrą rozrywką. Tu gdzieś należy szukać wielkiej dziedziny pracy, zaledwie rozpoczętej.

### NIE MÓW PRAWDY W OCZY...

Jak już sobie powiedzieliśmy — druga wielka grupa ZMS-owców w naszym województwie i nie tylko w naszym — to młodzież szkolna. Myślę, że obecną sytuację tej części ZMS określać najlepiej dwie przeciwstawne sobie tendencje.

Sekretarz Komitetu Szkolnego Lic. Ogólnokształc. w Nowym Mieście powiada: „Część Rady Pedagogicznej widzi działalność ZMS wtedy, gdy ZMS zajmuje się sprawą poprawy wyników nauczania, natomiast uczniowie szkoły przede wszystkim mówią o działalności ZMS, gdy organizowane są zabawy, wieczorki i inne imprezy rozrywkowe”. Młody człowiek widzi tu cały problem, no bo dyrektor powtarza za każdym razem — zlikwidujcie najpierw ośnię ławki, dwójce, a później pomyślcie o zabawach. Młody sekretarz jest zdziwiony, twierdzi, że dwójce były, są i będą, Rada nie rada, musi się z tym pogodzić. I dodaje: „Najważniejszą jest dla nas decyzja ZMS, a nie to, co podpowie Rada Pedagogiczna, ważne jest to co sami zdecydujemy...” „nie wybraliśmy uczniów, którzy mają dużo ocen niedostatecznych”. Powiada tak z okazji wyborów do władz szkolnej organizacji.

Coś tu jest nie w porządku, zadźwięczały nieprzyjemnie echa pajdokracji, rysuje się jakaś przepaść pomiędzy organizacją i nauczycielstwem. Przepaść tu i ówdzie wcale nie taka mała, zawsze jednak groźna, zawsze niweczy pracę zarówno organizacji, jak i w dużej mierze całe szkoły. Czyż trzeba tu szerzej wspominać sławne „draki” w łęczyckiej szkole, gdzie — bywało — nazywano uczniów „cymbałami”, a uczennice „dziwkami”? Dyrektor próbuje zerwać konferencję sprawozdawczą-wyborczą szkolnej organizacji ZMS, a w każdym razie nie życzy sobie, żeby ZMS-owcy zabierali po nim głos, młodzież zaś powtarza przysłówie — „nie mów prawdy w oczy, bo ci do oczu skoczą”. Nauczyciel oczywiście.

Nie chciałbym poszukiwać winnych, nie o to tu chodzi. Przecież i przywoici ludzie unoszą się, strzelają nieporozumienia byki, których później żałują. Chce powiedzieć, że w takiej atmosferze rodzą się dwie nieodobre tendencje. Jedną, wspomnianą już, przypomina brzydkiej pamięci pajdokracja. A druga grozi całkowitym opuszczeniem rąk i to w dziedzinie rozstrzygającej o moralno-politycznym obliczu młodego człowieka. Sekretarz KP ZMS w Pajęcznie zauważa: „mamy na swym koncie wiele osiągnięć, wiele doświadczeń, a mimo to postawy członków są jakieś niewyważne, nieskrystalizowane w decydujących sprawach, często właściwe stanowisko zajmują ci, na których najmniej liczymy”.

I to jest właśnie ta druga tendencja — spadek temperatury życia ideowego. Młodzież szkolna, owszem, pracuje, ulepsza swoje miasteczka, urządza akademie, pomaga tu, pomaga tam, uczy się nie najgorzej, ale sukcesy nie są tu w żaden sposób powiązane ze wzrostem ideowej świadomości. Właśnie na skutek „drak” w typie łęczyckich. Docho- dzi do głosu bardzo swoista ideologia — jazz, brydż, quiz, olimpiada, rock non stop po zgierku, albo łęczyku. Osobliwy paradoks, bo tej „ideologii” towarzyszy niekiedy rzetelna praca, niestety, chemicznie wyprana z elementów natury politycznej.

Jeżeli młodzież robotnicza jest już dziś rzeczywistym współzawodnicą zakładów pracy, mimo takich czy innych kłopotów, to młodzież ucząca się takim współzawodnicą w szkole jeszcze nie jest. Wiem, wiem, to trudna sprawa, ale właśnie od jej załatwienia zależy w dużej mierze dobra robota ZMS w naszych szkołach.

### HISTORIA DZIURY W CAŁYM

Uderzył mnie pewien nowy i niesłychanie świeży, powiedziałbym nawet — szlachetny kierunek działalności wojewódzkiej organizacji ZMS, wart nie tylko wysokiego uznania, ale i energicznego poparcia. Mój boże, nasza łódzka ojczyzna, te miasteczka i osady deskami od świata zabite, partycularne sennie i uroczę, raj dla poety i pijaka! Nowe domy, nowe szklane fabryki i średniowieczny obyczaj! No, ale dość patosu w gruncie rzeczy chcę pisać o sprawie płotu w Piątku, bo właśnie z tym płotem wiąże się piękna inicjatywa ZMS. Chodzi najwyraźniej o święcie o aktywizację małych miasteczek, spowodowanie ożywienia wiatrów, które mogą ożywić zatechłe, prowincjonalne skupiska ludzi.

Rejon Łęczycy i Piątku bardzo jest starożytny, wymieniany w historii dawnych wieków, ale dziś słynie z rudy i pijaków w różnym wieku, w ZMS-owskim, a nawet harcerskim także. Cóż tedy robi ZMS w Piątku? Aktywizuje — jak powiadają sprawozdania. Buduje się kawiarnię młodzieżową, powstanie Klub Technika, odpowiednio wyposażony i świetlica międzyzakładowa jest w planie. Zresztą nie tylko. Podniesienie podmokłych terenów, doprowadzenie boiska sportowego do stanu pełnej używalności, budowa stancji wodnej na rzece Malinie. Pomyślałem sobie w pierwszej chwili — dobrze jest, tylko jak oni to zrobią? Za czyje pieniądze? Trzy placówki kulturalne, boisko, stancja — mogą w poważnym stopniu przekształcić społeczno-obywatelskie życie miasteczka, tylko kto im to wszystko wybuduje? Młodzi ludzie z ZMS przyjęli bardzo proste założenie, a nawet dwa założenia. Po pierwsze — baza społeczna ZMS to nie tylko zakłady pracy i szkoły, trzeba koniecznie wyjść poza ten krąg. Młody personel wielu instytucji, wyjąwszy kościelne, a nawet zwykłe łaziki, obiboki spijające pianę z kufia po gospodach, to właśnie kandydaci na członków organizacji. Tylko ich powiązać w grupy działające, wyznaczyć bliższy cel i można w ten sposób stworzyć maleńką, ale operatywną armię pracy. W Piątku grupy działania wykonały pracę wartości 80 tys. złotych. A po drugie — ZMS nie jest bynajmniej jedyną organizacją przeznaczoną do przerabiania zjadaczy chleba w aniołów. W Piątku poważną siłą w walce o przyswoić życie kulturalne i dobre obyczaje okazała się miejscowa Gminna Spółdzielnia. Wydział Rolnictwa i Leśnictwa pomaga przy budowie przystani dla kajaków, można więc stworzyć wspólny front aktywizacji miasteczka. Tylko z tym płotem nie wyszło. Pan architekt powiatowy nie pozwolił ogrodzić płotem boiska, ponieważ nie ma jeszcze długofalowego i perspektywicznego planu rozwoju Piątku. A już za pięćdziesiąt lat otworzy się tam lotnisko dla pojazdów kosmicznych? Płot będzie wtedy przeszkadzał.

Mamy więc w pracy wojewódzkiej organizacji ZMS bardzo obiecującą tendencję. Kiedy młodzież bierze się za Piątek, Belchatów, Wieruszów, Praszkę, czy Nowe Miasto to znaczy, że rozumie starą prawdę. Jest jeden kraj, po- wiem metaforycznie — duża ojczyzna. Jest także wiele maleńkich krajów — male ojczyzny naszego dzieciństwa, jakieś własne strony, ulubione pejzaże, w których wyrastamy. Wychowywanie pokoleń poprzez przywiązanie, troskę o interesy rodzinnych stron, wyrabia postawy jak najbardziej szczerze i autentyczne, gdyż sprawdza działalność młodego człowieka w sposób bezpośredni, na jego ulicy.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## ROZMOWA ODGŁOSÓW Z: mgr Krystyną Kondratiuk dyr. Muzeum Włókiennictwa w Łodzi o wystawie tkaniny artystycznej w Sopocie

— Łodzianin ogląda wystawę z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszy się, że Muzeum Historii Włókiennictwa pracuje na eksport, tym razem wewnętrzny, z drugiej — żal mu, iż szeroka publiczność łódzka nie ma możliwości obejrzenia tej interesującej ekspozycji u siebie „w domu”. Krótko mówiąc: dlaczego właśnie Sopot, a nie Łódź?

— Muzeum Historii Włókiennictwa jest placówką o charakterze ogólnopolskim. Piękno polskiej tkaniny i jej wartości użytkowe chciałyby się pokazać nie tylko łodzianom, ale jak najszerszemu rzeszom naszego społeczeństwa, a także i zagranicy. W Łodzi nie mamy w tej chwili możliwości do zorganizowania tak wielkiej wystawy — dopiero po adaptacji naszego gmachu uzyskamy odpowiednie do tego celu sale. Zmuszeni więc jesteśmy urządzić na miejscu ekspozycję mniejszą, a dla

większych szukać okazji poza Łodzią.

W lipcu br. na wybrzeżu obchodzono centralne uroczystości, związane z Tygodniem Państwa i Gdańska, na które zjechała ogromna ilość osób z całego kraju, a nawet z zagranicy, nie mówiąc już o przebywających tu wczasowiczach, turystach, czy stałych mieszkańców Trójmiasta. Zorganizowanie w tym czasie wielkiej wystawy współczesnych tkanin polskich na XV Festiwalu Sztuk Plastycznych w Sopocie umożliwia nam realizację naszych zamierzeń. Festiwal sopocki cieszy się zresztą zawsze powodzeniem. Na jednym z nich w roku 1954 urządzaliśmy wystawę „Tkaćstwo artystyczne na przestrzeni wieków” i obejrzało ją wówczas 75.000 osób.

Sądzę, że organizowanie wystaw Muzeum Historii Włókiennictwa w takich okolicznościach jest doskonałą reklamą dla łódzkich akcji kulturalnych.

— Ten niejako handlowy punkt widzenia trochę nas przekonuje. Ale czy rzeczywiście wystawa zlokalizowana w Sopocie ściągają

zagranicznych turystów? Jak to się wyraża w liczbach i deklaracjach zakupowych?

— Nasze tkaniny artystyczne zawsze cieszyły się za granicą ogromnym uznaniem — większym niż w samej Polsce. Świadczy o tym między innymi i sukces ich na odbywającej się obecnie Międzynarodowej Wystawie Tkaniny Współczesnej w Ło- zannie, gdzie z miejsca znalazły nabywców. Tu, w Sopocie, w czasie uroczystości otwarcia naszej wystawy podchodziło do mnie wiele osób wyrażających chęć kupna poszczególnych tkanin. Głównie byli to właśnie turyści zagraniczni. Muzeum nie jest placówką zajmującą się handlem, toteż amatorów tkanin kierujemy wprost do artystów projektujących je, lub do odpowiednich placówek handlowych, spełniając w tym wypadku raczej rolę propagatora, a nawet w pewnym sensie mecenasu sztuki tkackiej. Z doświadczenia jednak widzę, że tkaniny artystyczne odpowiednio zdemons- trowane przed zagranicą to murowane dewizy.

— We wstępie do katalogu wystawy wspomina Pani, że tkanina artystyczna nie jest u nas w kraju doceniana i że w hierarchii sztuk plastycznych zajmuje pośrednie miejsce. Czym Pani skłonna jest to tłumaczyć?

— Rzeczywiście, tkanina artystyczna ciągle jeszcze traktowana jest u nas jak uboga krewna obrazu czy rzeźby, uznawanych za najczystszy przejaw sztuki. Np. przy sprzedaniu tkaniny malowanej artysta płaci podatek jak od produkcji i to znacznie większe niż od namalowanego przez siebie obrazu (podatek od twór-

czości). Tak samo stypendia czy nagrody przyznawane są głównie za twórczość rzeźbiarską czy malarską. Przykład najświeższej daty. Wśród tegorocznych nagród państwowych dla twórców nie uświadczylimy bodaj nawet wyróżnienia za twórczość w dziedzinie tkaniny artystycznej. A przecież mamy w kraju wybitnych artystów uprawiających tę dziedzinę twórczości, wśród nich wielu dla sprawy odrodzenia tkaniny zasłużonych. A nagrody i stypendia bardzo by się tu przydały, bo tworzenie tkaniny jest znacznie kosztowniejsze niż namalowanie obrazu. Mam tu na myśli drogi surowiec wełniany czy jedwabny, nie zawsze do tego łatwy do nabycia, trwałe lecz kosztowne barwniki, opłaty za wynajęcie lub kupno warsztatu i za pomoc tkacza — rzemieślnika. No, a oprócz tego pracochłonność i dodatkowe poza malarskimi opisanie technik tkackich. Ażeby zapewnić rozwój tkaniny artystycznej, należałoby zainteresować nią naszych krytyków artystycznych i przez większą reklamę zbliżyć ją do odbiorców.

— Proszę darować pytanie z pozycji laika: jakie są kryteria oceny wartości tkaniny i jakie podstawowe gatunki tu się wyróżniają?

— Tkanina własna, ręcznie wykonana przez artystę, podlega tym samym kryteriom jak i inne dziedziny twórczości plastycznej. Natomiast wśród wspomnianych przez Pana „gatunków” wyodrębnić trzeba przede wszystkim tkaniny tkane i tkaniny drukowane lub malowane. Tkanie to: gobeliny, kobierce, kilimy,

(Dalszy ciąg na str. 6)



# Czy naprawdę skłócona z życiem?

„Skłócenie z życiem” to studium charakterów. Tytuł mówi właściwie wszystko o mojej bohaterce i jej partnerach. Są to ludzie o intensywnych uczuciach, usiłujący w różny sposób wyrażać swe skomplikowane emocje. Każdy z mężczyzn widzi Roslyn z innej perspektywy, myśląc o wypełnieniu jakiejś specyficznej luki w swym życiu. Ja oddaję się Clarkowi Gable, wiecznemu kowbojowi polującym na dzikie konie, ponieważ oboje stanowimy antytezę pozostałych. Roslyn jest bardzo kobieca, szuka osoby bliskiej i ma uczuciowy stosunek do wszystkiego. Gable jest aktywny, zdobywczy, agresywny. Introspekcja charakterów dokonuje się na tle okrutnego polowania na dzikie konie, które też są „skłócone z życiem” — w świecie zwierząt...  
 ...Chciałabym w przyszłości otrzymywać tak interesujące role jak ta, role, które potwierdzałyby, że jestem aktorką...  
 Zacytowany fragment wypowiedzi Marilyn Monroe na temat jej ostatniego filmu jest bardzo charakterystyczny i wiążący się z wypowiedziami, które publikuje prasa co miesiąc. M.M. Urodzona w 1926 roku Norma Jean Baker (Marilyn Monroe było pseudonimem) miała trudne dzieciństwo, wychowywała się u obcych ludzi, pracowała w fabryce, zarabiała jako modelka. W filmie zadebiutowała w 1947 roku. Jednym z jej pierwszych filmów była „Dziwaczyna z rewii”, film znany z programu telewizji. Niedługo podbiła się polska premiera komedii „Książę i aktoreczka”, w której wystąpiła obok Laurence’a Oliviera. Współpraca z nim, pierwszy poważny film, rola w świetnej komedii Billy Wildera „Pół żartem pół serio”, wreszcie kreacja w „Skłóconych z życiem” — świadczą o pracy, uporze i bezporęcznym talencie aktorskim 36-letniej tragicznie zmarłej gwiazdy. Jej tragiczna śmierć zaskoczyła boleśnie. Jean Cocteau na wiadomość o zgonie Marilyn Monroe powiedział: „Nie znam osobiście Marilyn, ale odczułem tragizm jej śmierci. Śmierć tej wielkiej artystki powinna posłużyć jako straszliwa lekcja dla tych wszystkich, których główną zajęcie polegało na szpiegowaniu i szkalowaniu gwiazd filmowych”.

Laurence Olivier oskarżył Hollywood o to, że Marilyn Monroe stała się w całym tego słowa znaczeniu „ofiara” rozaskliwej propagandy i sensacji. Nikt nie zaprzeczy, że Monroe była lubiana, otoczona szczerą, ludzką sympatią. Jej śmierć poprzedził rozwód ze znanym dramaturgiem amerykańskim Arthurem Millerem i kłopoty w pracy nad filmem reżyserowanym przez George’a Cukora o jakże tragicznie i ironicznie wymownym tytule „COŚ SIE MUSI ZAWALIĆ”. Marilyn Monroe filmu nie ukończyła, nie chciała „powracać do dawnych lat” — podobno na polecenie Cukora zagrała sceny kąpieli nago — Monroe stanowią odmówiła. Wytwórnia „20-th Century Fox” zerwała z nią kontrakt. Wielka prasa zaczęła ją wykańczać, dość przytoczyć artykuł Hedy Hoyer w „Washington Post”, gdzie znana plotkarka Hollywood w niezwykle brutalnej konkluzji przepowiadała koniec kariery Marilyn Monroe, grzebiąc właściwie ją za życia. I oto nastąpiła tragiczna niedziela 5 sierpnia 1962 roku. Ta sama wielka prasa amerykańska po śmierci Monroe musiała jednak napisać tak jak „New York Herald Tribune” że „...dla potrzeb handlowych stworzono fałszywy i wulgarny obraz Marilyn Monroe. Była to jednak wrażliwa, utalentowana, czarująca, pełna humoru artystka. Z jej śmiercią nie mało piękności zniknęło z tego świata”.

A. N.



MARILYN MONROE

## Z wizytą u konkurentki

# „Jak być kochaną”

Gdy w tzw. kołach dobrze poinformowanych Wrocławia zaczęła krążyć plotka, że w tutejszej WFF robi się „coś dobrego” postanowiłem odwiedzić konkurentkę łódzkiej wytwórni. Pierwszą spotkaną tam osobą był kierownik produkcji p. Romanis.

- Co nowego?
- „Jak być kochaną”.
- Czy może według opowiadania K. Brandysa z tomiku „Romantyczność”.
- Zgadza się...

Ta w telegraficznym stylu prowadzona rozmowa zakończyła się wskazówką, że bohaterów znajdę w charakterystycznej. Poszedłem. Wygodnie rozparty w fotelu, poddając się skomplikowanemu zabiegom, siedział Zbyszek Cybulski.

— Zaraz kończę, to pogadamy...

— Rzeczywiście — po chwili gadaliśmy. Najpierw o Francji.

— Byłem w Cannes na zaproszenie gospodarzy. Festiwal już dokumentnie opisałem i nie mam nic do dodania. Dla mnie największym przeżyciem było poznanie Edith Piaf. — coż to za wspaniała kobieta! Jeśli chodzi o mój udział w „Lalce” Audibertie’go to rola, oprócz doświadczenia, dała mi dużo satysfakcji — zawsze to ciekawe grać dwóch zupełnie różnych, pod względem charakterów, ludzi. Film pokazywano na festiwalu berlińskim i sadząc z recenzji jakoś się obroniłem.

— A co z „Miłością dwudziestolatków”?

— Różnie, ale na ogół dobrze. Krytyk „Monde” napisał nawet tak: — Wajda, twórca „Kanału” i „Popiołu i diamentu” stworzył nareszcie arcydzieło. Teraz, jak pan widzi, gram Wiktora w „Jak być kochaną”. To taki facet rozczarowany wobec siebie, w miarę ciekawy, w środku mocno poturbowany, którego pozbawiono szansy bohaterstwa. A w ogóle to nie lubię mówić o nieskończonej roli. W najbliższej przyszłości czeka mnie zupełnie coś nowego — rola kapitana milicji w filmie „Zbrodniarz i panna” Nasfetera.

— A obecna partnerka?

— Świetna. Proszę mi wierzyć — to nie komplement, ani odosobniona opinia. Oto właśnie ona.

I rzeczywiście — w obszernym, pasiastym płaszczu kąpielowym zbliżała się do nas Barbara Kraftówna, aktorka, której popularność datuje się od jej udanych występów w telewizji.

— Jaka jest ta pani Felicia?

— Kobieta nie kochana, trochę zaborcza, ale chyba w gruncie rzeczy dobra. Pozornie pogodna, pozornie przeżyła z Wiktorem (tu

gest w stronę Cybulskiego) nie zostawiły po sobie śladu, ale gdzieś głęboko pozostał pewien niepokój. Są zresztą dwie Felicie — dawna i współczesna. Pierwsza walczy o ukochanego mężczyznę, druga pragnie usprawnić swoje postępowanie.

— Jednym słowem, film typowo psychologiczny o niedobranej parze, nieodwzajemnionej miłości...

— Chyba tak, ale nie tylko. Zresztą jak to jest naprawdę przekonamy się jesienią, kiedy to film wejdzie na ekrany.

Ostatnie słowa wypowiedział reżyser Wojciech Has, który ze swą żoną zjawił się właśnie na planie. Od niego też dowiedziałem się, że obok pary bohaterów występują w filmie m. in. Gliński, Jedrusik, Gołas i Pawlikowski, jak również, że następnego dnia, na jednej z ulic Wrocławia kręcić będą sceny wyzwolenia... Krakowa.

Wybrałem się zobaczyć. Niezwykły był to widok — gorący letni dzień, a dookoła białe — ogromne polacie waty, czy czegoś podobnego imitującego śnieg. Warczą

motory czołgów i samochodów, biegają żołnierze polscy i radzieccy specjalnie wypożyczeni z jednostek. I trzeba się było długo przysłuchiwać, by z tego pozornego chaosu wyłowić jakiś sens. Tak to powoli, dzień po dniu realizuje się „Jak być kochaną” — filmowa wersja opowiadania K. Brandysa.

Wtajemniczeni opowiadali mi, że pisarz przez kilka dni przebywał w stolicy Dolnego Śląska i obejrzałszy zmontowaną część filmu, wyjechał zadowolony. A jak ocenia widzowie? Pożyjemy — zobaczymy.

HENRYK WALENDA

\* Film, na który składa się 5 nowel, zrealizowanych przez Japończyka, Francuza, Niemca, Włocha i Andrzeja Wajdę. W tej ostatniej, polskiej noweli, Cybulski występuje obok Baszki Kwiatkowskiej i Władysława Kowalskiego.



Kraftównę ubrali w ciepły płaszcz, „opatulili” w grubą chustkę i posypali śniegiem. Wszystko w samo południe upalnego dnia. Współczuję...

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

odgłosy

str. 3



## Dalszy ciąg ze str. 1

nie stanowią jeszcze zamknięcia dyskusji, to przynajmniej sumują jej obecny stan.

Rozważania nasze, ustalmy to może z góry, obracać się będą w trzech podstawowych kręgach: w kręgu inwestycji, udziału ośrodków regionalnych w tworzeniu programu ogólnopolskiego i wreszcie kompetencji ich dyrektorów. Spójrzmy w oczy nie najweselejszej rzeczywistości, odnotujemy pewną poprawę, czy raczej — chciałoby się powiedzieć — normalizację stosunków, wreszcie podejmijmy zasadniczy spór, który — boimy się — trwać będzie jeszcze długo, każdy jednak rzuca rękawicę w nadziei, że jego racje zwyciężą.

### KRĄG PIERWSZY: INWESTYCJE

Wiemy to dobrze: telewizja „wybuchła” w Polsce żywiołowo, kroiliśmy na miarę ambicji, a nie na miarę sił i teraz musimy jeść tę żabę. Zamiast trzech dobrze wyposażonych ośrodków, mamy sześć ośrodków wyposażonych kiepsko, nie mówiąc już o tym, że i Warszawa dopiero buduje Centrum Telewizyjne z prawdziwego zdarzenia, a niezażony teren wola o jeszcze.

Tę „jeszcze” nie będzie. W tej materii Komitet do Spraw Radia i Telewizji obiecuje nie ustąpić ani na pół kroku i bez wątpliwości ma świętą rację. Mnożyć ośrodki niedoinwestowane, kulawo działające, a nadto nie posiadające naturalnego zaplecza w aktywnym środowisku twórczym, zamiast szczerze pokrywać cały kraj sprawnie działającymi stacjami przekątnikowymi — to jaskrawy absurd nawet wówczas, gdy kogoś na ten absurd stać.

A nas przecież nie stać. To prawda, że gdzieś w styczniu 1963 roku zarejestrujemy milionowego abonenta telewizyjnego, że dochoń telewizji wyraża się setkami milionów złotych, ale prawda jest również — coś z tego, że przykra — że nie mamy po prostu wolnych dewiz, które moglibyśmy w nowy sprzęt telewizyjny wpakować.

Nie mamy i prawdopodobnie nie będziemy mieli tak szybko — trzeba więc latać, szukować, a czasami nawet ohywać się smakiem, co najpewniej czeka Łódź i jej tęsknoty do wozu transmisyjnego. Zaczęliśmy wprawdzie, jak wiadomo, zbierać fundusze społeczne, ale kto pierwszy wpadł na ten pomysł, ten zajął też i lepsze miejsca w kolejce, a przed nami stoją Poznań, Wrocław i Gdańsk, które mają nadzieję otrzymać wozy już w roku przyszłym. Nam przyjdzie poczekać dłużej, w dodatku bez większej nadziei na braterską pomoc Warszawy, której dwa wozy transmisyjne ponoć zaczyna się rozpaść na części pierwsze.

Ale wóz transmisyjny i w ogóle dość markotna sytuacja ośrodka łódzkiego, którą wy-czerpująco wyłożyła na łamach „Odgłosów” z 29 lipca Ewa Ostrowska w artykule „Obalenie mitu” — to są ostateczne kłopoty lokalne, które wprawdzie najbardziej bolą, ale stanowią tylko drobną część kłopotów ogólnopolskich.

Bo nie ma — nie ma dewiz, nie ma również złotych, ani na nowe inwestycje, ani na nowe etaty, ani nawet na program, przynajmniej w tym wymiarze, jaki by sobie realizatorzy wymarzyli. W IV kwartale trzeba będzie na przykład dokonać pewnych bolesnych cięć budżetowych, które — przyjemnie to powiedzieć — nie dotkną wprawdzie bezpośrednio Łodzi, ale odbiją się przecież jakoś na programie.

Slogany są chyba zbędne — musimy oszczędzać, oszczędzamy na wielu rzeczach, a więc i na telewizji również.

### KRĄG DRUGI: TEREN W PROGRAMIE OGÓLNOPOLSKIM

Ewa Ostrowska w artykule „Perspektywa, ale jaka?” („Odgłosy” z 3 lipca br.) pisała:

„Centrala telewizyjna prze-widuje i już realizuje ograniczanie udziału LOT w programie ogólnopolskim. W niedalekiej przyszłości 90 proc. programu przypadnie na wyłączną własność Warszawy, zaś dziesięć procent rozłoży się w miarę zasług i uznania pomiędzy ośrodki regionalne.

Centralizacja programu pociągnie za sobą stopniowe ograniczenie roli ośrodków regionalnych, a przez to stopniowe zawężanie perspektyw ich rozwoju. Nie trzeba więc bawić się w Kolumba i udawać, jak potężnym bodźcem jest TV dla środowisk twórczych. Skąd więc bierze się ta dynastyczna polityka naczelnych władz telewizji?”

Ten — być może — nieco drastyczny w tonie cytat dobrze chyba odzwierciedla uczucia młotające w połowie pięknego 1962 roku tak zwanym terenem. Teren czuł się wywłaszczany, ograniczany w prawach — usiłował na gwałt „zaklepywać” jakieś audycje cykliczne, w nadziei, że już przy nich pozostanie, usiłował możliwie najmocniej wejść na ogólnopolską antenę, zanim urośnie Centrum — Minotaur, który wszystkich pożre. Były to może odczucia również i subiektywne, ale przynajmniej, że niektóre oficjalne wypowiedzi, jak również głosy prasy centralnej, były dla nich piękną pożywką.

Gdy jednak przyszło do opracowywania planów na IV kwartał sytuacja zmieniła się radykalnie — przedstawiciele ośrodków regionalnych powrócili z Warszawy lekką zaszokowani: nie tylko zapowiedziano zwiększenie udziału terenu w tworzeniu programu ogólnopolskiego, ale z dużym naciskiem poproszono ich, aby wywiązywali się skrupulatnie z tych zwiększonych obowiązków.

Tak rzecz wygląda, pow-tórzmy, w odczuciach su-

bietywnych. A co mówią cyfry? Otóż cyfry, skrupulatnie obliczone procenty, mówią rzeczy przedziwne: na 1961 r. planowano udział ośrodków regionalnych w programie ogólnopolskim na mniej więcej 30%. Wykonano — poniżej 14%. Na 1962 rok planowano już tylko 25%. Wykonano, za trzy pierwsze kwartały — 15%. Na kwartał czwarty planuje się 23% i Warszawa wyraża obawę, czy aby te 23% zostaną zrealizowane.

Zadziwiające są te sprzeczności, zanim jednak spróbujemy je rozwinąć, wprowadźmy może jedno uściślenie. Otóż chodzi tu tylko i wyłącznie o udział w programie ogólnopolskim, bez tak zwanych „okienek” na program lokalny. Program lokalny — i ta teza wydaje się być przekonywująca — należy, zdaniem Komitetu do Spraw Radia i Telewizji, ograniczać do niezbędnego minimum: jest on mimo wszystko dość kosztowny, a odbierany w ograniczonym zasięgu — czyż nie lepiej tedy wszystkie, tak skąpo wydzielane,

zawsze przecież możliwe — tarcia, czy rozbieżności poglądów, między redaktorami lokalnymi a pracownikami Naczelnej Redakcji Zespołu Programu TV, brak inwencji u lokalnych redaktorów i tak dalej, i tak dalej.

Teza jednak o powszechnym i nieuleczalnym wygodnictwie wszystkich pracowników ośrodków terenowych wygląda tak nieprzekonywająco (żeby nie powiedzieć: przerażająco), że stanowi ona raczej jedynie przykrywkę głębszych, istotniejszych konfliktów między terenem a Warszawą, które praktycznie wyrażają się o-wymi przepastnymi różnicami procentowymi między zaplanowanym a wykonanym udziałem terenu w programie ogólnopolskim.

I tu wypada podjąć spór.

### KRĄG TRZECI: TEREN W ROLI PENTENTA

Program ogólnopolski planuje się, jak wiadomo, centralnie, czyli inaczej mówiąc w Warszawie. Teren zgłasza ewentualnie swoje propozycje, ale Warszawa je za-

wsze przecież możliwe — tarcia, czy rozbieżności poglądów, między redaktorami lokalnymi a pracownikami Naczelnej Redakcji Zespołu Programu TV, brak inwencji u lokalnych redaktorów i tak dalej, i tak dalej.

Teza jednak o powszechnym i nieuleczalnym wygodnictwie wszystkich pracowników ośrodków terenowych wygląda tak nieprzekonywająco (żeby nie powiedzieć: przerażająco), że stanowi ona raczej jedynie przykrywkę głębszych, istotniejszych konfliktów między terenem a Warszawą, które praktycznie wyrażają się o-wymi przepastnymi różnicami procentowymi między zaplanowanym a wykonanym udziałem terenu w programie ogólnopolskim.

I tu wypada podjąć spór.

Program ogólnopolski planuje się, jak wiadomo, centralnie, czyli inaczej mówiąc w Warszawie. Teren zgłasza ewentualnie swoje propozycje, ale Warszawa je za-

wsze przecież możliwe — tarcia, czy rozbieżności poglądów, między redaktorami lokalnymi a pracownikami Naczelnej Redakcji Zespołu Programu TV, brak inwencji u lokalnych redaktorów i tak dalej, i tak dalej.

Teza jednak o powszechnym i nieuleczalnym wygodnictwie wszystkich pracowników ośrodków terenowych wygląda tak nieprzekonywająco (żeby nie powiedzieć: przerażająco), że stanowi ona raczej jedynie przykrywkę głębszych, istotniejszych konfliktów między terenem a Warszawą, które praktycznie wyrażają się o-wymi przepastnymi różnicami procentowymi między zaplanowanym a wykonanym udziałem terenu w programie ogólnopolskim.

I tu wypada podjąć spór.

Program ogólnopolski planuje się, jak wiadomo, centralnie, czyli inaczej mówiąc w Warszawie. Teren zgłasza ewentualnie swoje propozycje, ale Warszawa je za-

wsze przecież możliwe — tarcia, czy rozbieżności poglądów, między redaktorami lokalnymi a pracownikami Naczelnej Redakcji Zespołu Programu TV, brak inwencji u lokalnych redaktorów i tak dalej, i tak dalej.

Teza jednak o powszechnym i nieuleczalnym wygodnictwie wszystkich pracowników ośrodków terenowych wygląda tak nieprzekonywająco (żeby nie powiedzieć: przerażająco), że stanowi ona raczej jedynie przykrywkę głębszych, istotniejszych konfliktów między terenem a Warszawą, które praktycznie wyrażają się o-wymi przepastnymi różnicami procentowymi między zaplanowanym a wykonanym udziałem terenu w programie ogólnopolskim.

I tu wypada podjąć spór.

Program ogólnopolski planuje się, jak wiadomo, centralnie, czyli inaczej mówiąc w Warszawie. Teren zgłasza ewentualnie swoje propozycje, ale Warszawa je za-

wsze przecież możliwe — tarcia, czy rozbieżności poglądów, między redaktorami lokalnymi a pracownikami Naczelnej Redakcji Zespołu Programu TV, brak inwencji u lokalnych redaktorów i tak dalej, i tak dalej.

Teza jednak o powszechnym i nieuleczalnym wygodnictwie wszystkich pracowników ośrodków terenowych wygląda tak nieprzekonywająco (żeby nie powiedzieć: przerażająco), że stanowi ona raczej jedynie przykrywkę głębszych, istotniejszych konfliktów między terenem a Warszawą, które praktycznie wyrażają się o-wymi przepastnymi różnicami procentowymi między zaplanowanym a wykonanym udziałem terenu w programie ogólnopolskim.

I tu wypada podjąć spór.

# W poszukiwaniu 15 procent programu

środki i całą energię skierować na tworzenie wartościowego programu ogólnopolskiego?!

Powiedzmy, że lepiej. Trochę wiadomości lokalnych i jakiś tygodniowy magazyn znakomicie mogą zaspokoić potrzeby i ambicje terenu, zwłaszcza wówczas, gdy ma on perspektywę wchodzenia na falę ogólnopolską. Dla czegoż jednak nie wchodzić nawet w takim wymiarze godzin, jaki mu się proponuje?

Otóż podobno wygodniej jest tworzyć program lokalny — nikt się do niego z zewnątrz w zasadzie nie wtrąca, wszystko rozstrzyga się w obrębie ośrodka, a kiedy audycje zapropnuje się do programu ogólnopolskiego, Warszawa zawsze może powiedzieć „nie”, a przynajmniej — „nie tak”. Zapamiętajmy sobie owo „nie”, bo ono się nam w dalszych wywodach bardzo przyda i sformułujmy rzecz następująco: jeżeli, powiedzmy, Katowice mają do wyboru przygotowywać koncert w programie lokalnym „fundowany” przez górników, albo koncert w programie ogólnopolskim finansowany z budżetu centralnego, zawsze wybiorą ten pierwszy. Z taką przynajmniej spotkaliśmy się sugestią, trudno osądzić, na ile prawdziwą.

Przynajmniej taką nieśmiało wchodzenia ośrodków terenowych na ogólnopolską falę, byłoby —

twierdza i to jest oczywiście zrozumiałe.

Ale chodzi również o to, co się rozumie przez owe zatwierdzanie, jak daleko sięga ingerencja pracowników Zespołu Programu, jakie „są kompetencje redaktora naczelnego Ośrodka Terenowego” — co za tym idzie — jak daleko może się on posunąć w rozmowach z potencjalnymi twórcami audycji.

Tu wracamy do punktu wyjścia: wszystkie wiążące decyzje leżą w wyłącznej kompetencji Warszawy i z uprawnień tych Warszawa rezygnować nie zamierza. Nie zamierza rezygnować ze względu na konieczność planowania, z racji natury artystycznej i politycznej.

To brzmi groźnie, ale jest zarazem tylko ogólnikiem, który można przecież rozszyfrować.

A więc planowanie. Zrozumiałe, że dwa ośrodki na raz nie mogą przygotowywać „Ciotuni” Fredry, ani też audycji publicystycznej o rozwojach, ale dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa wystarczyłoby podanie tytułu sztuki, bądź najogólniejszego konspektu audycji. Tęgo typu informacje muszą oczywiście do Warszawy napływać i nikt się przed nimi nie broni.

Raczej polityczne. Znowu zrozumiałe, że z perspektywy stolicy ma się pełniejsze rozeznanie w złożonej problematyce krajowej czy

- a) tytułu sztuki,
- b) ostatecznego tekstu, w którym będzie grana,
- c) budżetu w rozbiću na pozycje,
- d) nazwiska reżysera,
- e) obsady aktorskiej.

Otóż wydaje się, że za wyjątkiem tytułu sztuki i budżetu, ale już chyba bez rozbicia, resztę można by zupełnie śmiało darować i pozostawić do kompetencji dyrektora ośrodka. Jest to dość zrozumiałe — dyrektor odpowiada bowiem, za wybór reżysera, ten zaś z kolei za kształt przedstawienia, a więc za ostateczne opracowanie tekstu i za obsadę. Stworzenie spektaklu jest sprawą jakiejś wizji, wyobraźni — reżyser musi po prostu „zobaczyć” tego a nie innego aktora w określonej roli i mieć wewnętrzne przekonanie, że dla przeprowadzenia swojej koncepcji artystycznej może, czy nawet musi, z jednych partii tekstu zrezygnować, a inne zachować. Wszystko to są sprawy po prostu niepodatne analizie przy biurku, i w dodatku na odległość — można podziwiać odwagę ludzi, którzy taką analizę podejmują, a nie widzieć większej celowości ich pracy.

Przy tak ograniczonym wglądzie Warszawy nadal, rzecz jasna, zdarzałyby się niewypały, ale chyba wcale nie częściej, niż widzimy w owych niewypałach jakiś ośrodek zaczynający się po prostu specjalizować, można by wówczas pomyśleć o ewentualnej zmianie dyrektora, co chyba nie o wiele trudniejsze, aniżeli permanentne wyręczanie tegoż dyrektora w decyzjach.

Posłaliśmy może zbyt daleko, ale niebezpieczeństwa obecnej praktyki są zbyt wyraźne, aby można było beztrzęsło milczeć na ich temat.

Grozi więc przede wszy-

Nie kwestionujemy konieczności centralnego planowania programu, nadzoru ideowego i artystycznego, nawet ostrej ingerencji w wypadkach skrajnych — kwestionujemy jedynie zasięg tej ingerencji.

Trudno tworzyć program ze związonymi rękoma, zwłaszcza gdy środowiska twórcze mające być dla tego programu zapleczem, do-brze wie, że jego potencjał kontrahenci to często niemal tylko figuranci. Ślad nie przypadkiem chyba sporadycznie łódzkie dramaturgi celują na teatr, a sporadycznie satyrycy na estradę, mimo że mają nieopodal Teatr Popularny oraz Muzykę Lekką, Łatwą i Przyjemną.

W tym miejscu zawieśmy głos i pozwólmY działać czasowi. Kto wie, ile nam przyjdzie czekać?

JERZY PANASEWICZ

## Bezradne prawo?

Nr 28 „Odgłosów” przynosił m. in. relację ze śmierci w dn. 19 maja br. 15-letniej Henryki W. Zginęła na przystanku PKS w Skierniewicach, wpełni pod koła autobusu przez szturmujący go tłum. Sprawców nie ma, prawo jest rzekomo bezradne.

Jestem nieco innego zdania niż autorzy reportażu (czy tylko ci, którzy nadali mu tytuł, nie wiem). Prawo

nie jest bezradne — tylko niestety nie zawsze bezkompromisowo wprowadzane jest w życie.

Przecież w reportażu znajduje się m. in. logiczne stwierdzenie powodów śmierci Henryki W., powtórzę ten fragment:

Dyrektor szkoły: — „Przypuszczam, że władze i ludność miasta wyciągną odpowiednie wnioski. Do skier-niewickich szkół dojeżdża 30 proc. uczniów. Przedsiębiorstwo PKS powinno odpowiedzialnie zabezpieczyć dojazd młodzieży do miasta”.

„Gdyby były chociaż bariery na przystanku, i „bis-sy” — wzdychali wszyscy nasi rozmówcy

A dalej konduktor autobusu stwierdza, że obecnie w Skierniewicach „jak było tak jest”, ludzie „pchać się jak dawniej” na przystanku, „śmierć dziecka niczego nie nauczyła”.

Przecież biedna Henia W. mogła, że też się pchała i szturmowała — a raczej obiegała tylko — autobus w owym dniu 19 maja br. Szukanie winnych wśród osób znajdujących się na przystanku to stwarzanie pozoru stosowania prawa.

Sprawa odpowiedzialności za wypadki nie jest niczym nowym dla prawa, do tego w naszym systemie mamy wspaniałą analogię w dziedzinie BHP (gdzie oczywiście też często trudno znaleźć winnego).

Logiczna analogia z PKP też będzie pouczająca. Kolej odpowiada za wszystkie

wypadki wynikłe z nieodpowiedniego zabezpieczenia peronów, przejazdów (szlabany!).

Może ktoś w stosunku do PKS, z takich czy innych powodów, stosować „taryfę ulgową” w kwestii odpowiedzialności — ale nie istnieją najmniejsze powody stwierdzania, że „prawo jest bezradne”.

W relacji z wypadku powiedziano m. in. że: „na przystanku byli mordercy i ofiary ich bezmyślności”. Protestuję, już nie z punktu widzenia prawa, ale zwykłej logiki, przeciw takiemu sformułowaniu. Morderców na przystanku nie było. Byli tylko ludzie, którzy chcieli i najprawdopodobniej potrzebowali jechać autobusem, a wśród nich również Henia W. Byli tylko ofiary czy-

jeż niefrasobliwości, nieudolności i nieodpowiedzialności.

Jeżeli jeszcze przez dłuższy czas usługi w dziedzinie komunikacji autobusowej nie będą nadążać za potrzebami konsumpcyjnymi ludności (osobiście zresztą wydaje mi się, że można by zwiększyć ich import kosztem wozów osobowych), to należy tak zorganizować wsiadanie na przystankach, aby nie było szturmowania samochodów.

Może by tak np. w kasie sprzedawać dodatkowo miejscówki? Jasne, że zmniejszy to dochodowość PKS — ale panowie nie czarującie, społeczeństwo wcale nie zależy na dochodzie kosztem demoralizującego bałaganu na przystankach, to najwyżej wam zależy w pierwszym

rzędzie na premiach za dochody, za wykonanie planów.

I to wcale nie Milicja Obywatelska jest tą „panną od wszystkiego”, aby pchnąć jeszcze porządek na przystankach autobusowych. PKS bierze pieniądze i winna za nie dość bezpieczeństwo pasażerom; choćby nawet organizując jak koleją własną milicję (SOK).

Nie partia i rząd, nie pan prokurator, ani nie ja, nie milicja i nie podróżni są powołani do organizacji bezpieczeństwa w Polskiej Komunikacji Samochodowej.

Prawo nie jest bezradne. Tylko, aby móc właściwie zastosować trzeba wprawdzie ustalić — co zresztą wcale nie będzie łatwe — kto jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo ruchu w PKS.

mgr. A. WOJCIECHOWSKI





# potem kino kawiarnia i spacer...

Kino? Nie. Spacer? Dziekuje. Pan Nowak proponuje miala kawę. Dokad pójdzimy? Wybór jest bogaty — znajdujemy sie, oczywiście, w śródmieściu, bo gdzieżby mógł znajdować się łódzianin po południu... A dokoła, w promieniu kilkuset metrów, tyle kawiarni! Policzmy: „Grand-Cafe”, „Łódzianka”, „Honoratka”, „Teinka”, „Lowicka”, „Egzotyczna”, „Warszawianka”, „Milusia”, „Akademicka”, „Teresina”, „Polonia”... Stop. stop! Już wystarczy — tuzin mniej lub bardziej przytulnych lokali — z lepszą lub gorszą kawą, z muzyką i bez... Wybieramy „Teinkę”. Tyle się o tej kawiarni niedys

puszało w łódzkiej prasie codziennej, a że wylegarnia zła, przystań wagarowiczów (bo jest to tzw. kawiarnia młodzieżowa, a że giełda taniej miłości) itp. itp. Zmieniono kierownika lokalu (jest nim obecnie ob. Michałina Kabzar) i sytuacja natychmiast zmieniła się na lepsze. Proszę, ile znaczy taktowne i stanowcze podejście do młodzieży! „Teinka” jest spokojną, najpopularniejszą w świecie kawiarnią, której już chyba nie zarzucić nie można. Prawie nic... Jest gorąco, zamawiamy napój firmowy. Otrzymujemy w szklaneczkach wodę z odrobiną miodu i kwasku cytrynowego. Pijemy — fak-

tycznie woda z odrobiną miodu i kwasku! Pytamy o cenę: dwa pięćdziesiąt. Oj, niedobrze. Za drogo, jak za odrobinę miodu i kwasku! Pan Nowak bierze swój niedopity napój i podchodzi do bufetu. Wywiązuje się następująca rozmowa: (dzień 22 lipca, godzina 18,00, na sali grupka młodzieży i pewien starszy pan, nazwiskiem bodajże Mazur, a w każdym razie mąż, któregoś z kelnerów). Pan Nowak (do bufetowej): „Uprzejmie proszę, niech mi pani zdradzi tajemnicę, czy istnieje na ten napój jakaś receptura, czy go się robi ot, tylko na smak?”.

Bufetowa: (ob. Bernardo-wa): Oczywiście, że istnieje receptura. Na wszystko jest receptura”. Pan Nowak: „A kto tę recepturę zatwierdził?”. Bufetowa (zaskoczona): „Pan Szymański zatwierdził...”. Pan Nowak: „A kto to jest pan Szymański?”. Bufetowa: „Nasz księgowy”. Pan Nowak: „Aha. I kto jeszcze?”. Bufetowa: „I jeszcze PIH zatwierdził”. Pan Nowak: „O, to już brzmi lepiej. A ile miodu ma przypadać na szklanke?”. Bufetowa: „Trzy deko. Ale pan Szymański zatwierdził...”. Pan Nowak: „W porządku. Kocham miod, droga pani, czy może mi pani odważyć trzy deko miodu?”. Bufetowa (całkiem zdezorientowana): „Służę uprzejmie”. (Ważę trzy deko miodu). Pan Nowak (bierze czystą szklanke i prosi o nalanie wody, następnie wrzuca miod i miesza, przyrządzając w ten sposób znakomity napój firmowy według receptury za jedyne dwa i pół złościzna). Bufetowa: (zrozumiałwszy jakie głupstwo zrobiła, odważając Nowakowi miod): „Tam jest więcej miodu, ja panu więcej zważyłam, żeby panu dogodzić!”. Pan Nowak (powołując na świadków wszystkie znajdujące się w lokalu osoby): „Który napój lepszy, proszę państwa? Czy ten o barwie rubinu, który ja sam sporządziłem, czy ten o barwie herbaty z dworca w Kopytkowie, którego recepturę zatwierdził pan Szymański — rzekomo?”.

z tego użytku, pan jest przyzwyczajony, a poza tym to my się możemy wszystkim zaprzec, bo pan mógł wziąć dwa dobre napoje i poje i jeden rozcieńczyć, żeby nam zrobić na złość...”. O rany! „Icie zarowia zmarnować, żeby miłej pani bernardowej zrobić na złość! Miła pani, kto komu tu robi na złość? Kto kogo, jak to mówią, rznie w żywy kał?” Pan Nowak spisał świadków i na tym poprzestał (nie każdy klient ma zdrowie choćby na to) ale ja się pytam wielkim głosem: jak długo będą nas na żywca, na okonia okpiwać, orzynać, okraczać, przy byle okazji? Czy naprawdę nie ma na to rauny?

Chroniczny kant! Pan Nowak po kilku dniach przyszedł do „Teinki” i otrzymał napój może odrobinę słodszy, ale, daleko, nie z trzema dekami miodu. Ile siołkow miodu (a 29 zł) zniknęło do tej pory w torbach ludzi nieuczciwych?

Idziemy do „Egzotycznej”. Też „młodzieżowa” kawiarnia. Siadamy na tarasie. Kelnerka — rozłożysta blond Venus — ledwie raczyła nas dostarczyć po pół godzinie czekania. Prosimy o książkę zalecenia. Jest kilka skarg na blond Venus. Opowiada pan Nowak:

„Ta kelnerka pracowała już w wielu kawiarniach. Wszędzie dała się poznać gościom jako osoba wielce ordynarna. Ja pamiętam ją z „Agawy”. Przyjechał do mnie przyjaciel z innego miasta. Zaprosiłem go więc do tej reprezentacyjnej kawiarni na kawę i dobre wino. Przyjaciel mój jest smakoszem i znawcą win, więc dopytywał się, jakie gatunki można w „Agawie” otrzymać. „A bo ja wiem — powiedziała kelnerka — jest żółte i czerwone, które pan woli, tylko szybko, bo ja nie mam czasu na zabawy”. Rzecz prosta, nie każdy musi być Fukierem, ale podstawowa znajomość artykułów, które się podaje — obowiązuje. Powiedzieliśmy to tej pani. Odeszła zła, a po chwili zbliżyła się do naszego stolika trzech panów o raczej mało intelektualnym wyrazie twarzy i zaproponowało rozmowę przed kawiarnią. Ponieważ domyślaliśmy się, że chodzi tu o rozmowę na dotykane migi, zrezygnowaliśmy z wina i szybko uciekliśmy z tej przepięknej kawiarni, z tej super-ekskluzywnej kawiarni, u której wejścia swojego czasu stał pan w wyświeconym, brązowym czymś, co piętnaście lat temu można było od biedy nazwać garniturem, w butach na wysoką, potrójnym sztytem zdobioną podeszwie i podciągając co chwila wytłuszczony krawat brudnymi paluchami o obgryzionych paznokciach segregował gości według stroju, jaki aktual-

nie na sobie mieli. Nie wpuszczał mianowicie znanego pisarza, polskiego, drobnego mężczyzny o wysokim czole i w okularach tylko dlatego, że ten miał rozpiętą koszulkę — wpuszczał natomiast znanego łódzkiego chuligana o twarzy neanurtaicyzka, tylko dlatego, że neandertalczyk ow miał na sobie odpułstowy, czarny (posypany wszakże obficie łupieżem) garniturowy uniform”.

My tu sobie gadu-gadu z panem Nowakiem w „Egzotycznej”, a tu na taras wchodzi dość korpulentna jejność w pobalzakowskim wieku. „Eryka!” krzyczą miodzi, oziami w barwne koszule cniłocy. „Jak się masz, Eryka! Jak ci w szkole poszło?”. Ej, wy!” odpowiada pani, zwana poutale Eryka. „Tyko mi nie chuliganie, bo was wyrzucę siad”. „Nie wyglupiaj się, Eryka, nie bądź zła, złość piękności szkodzi”. Eryka mruczy coś niezrozumiale i wyraźnie rozczulona chwiejnym krokiem oddala się w głąb kawiarni. „Eryka ma humor, podpila sobie, pewnie piątkę w szkole dostała...” syczą głosy. „Któż to jest, ta Eryka?” pytamy młodych ludzi przy sąsiednim stoliku. „Jako kto?” odpowiadają zdumieni, że nie wiemy. „Kierowniczką”.

„Co?”. Niestety. Jeśli jestem Kolumbem, odkrywającym „Egzotyczną” ład, to dobrze, dziennikarz musi być Kolumbem, choćby na miarę „Egzotycznej”. Ale to źle, bardzo źle, że właśnie dziennikarz musi być tym Kolumbem od siedmiu boleści! Co mnie bowiem obchodzi fakt, że kierowniczka popularnej kawiarni choć to miłe, że uczy się — spaceruje po lokalu pod rauszem, ucinając sobie z młodymi cwaniami rozmówki gło- z, gesto kraszone łaciną, co mnie obchodzi atmosfera tej kawiarni, bynajmniej nie budująca? Czy to moja sprawa? Nie, nie! Po tyluś krocie nie!

Jest to sprawa urzędników LZG, sprawa kadrowców, sprawa inspektorów. Oni za to otrzymują chleb, ja im chleba nie chcę zabierać. Chcę natomiast mieć spokój w kawiarni, nie oglądać obrzydliwych widoków, nie słuchać obrzydliwych słów z ust personelu i oni, ci urzędnicy LZG powinni mi ten spokój zapewnić. Jeśli tego dotąd nie zrobili, to, choć bardzo mi przykro, publicznie im o ich obowiązkach przypominam. Oczywiście — w imieniu pana Nowaka, który, zde gustowany „Egzotyczną” prowadzi mnie już gdzie indziej.

Zdjęcia  
ANDRZEJ RZEPA





## Dalszy ciąg ze str. 1

dzie, gdzie nie poszedłem, pierwsza ode mnie była legenda, przysparzająca mi nowych znajomych. Cała moja ulica, choć mieszkam na niej od niedawna, wie o mnie — jak się nazywam, jakie było moje życie, co myślę, jak myślę — i nie tylko ta jedna ulica: nigdy dotąd nie czułem się tak bardzo własnością publiczną, jak teraz. Lecz ci ludzie, z którymi muszę stykać się obojętnie, mają nie lada orzech do zgryzienia. Bo i jak tu traktować takiego człowieka? Wszyscy oglądają mnie jak jakieś curiosum; coś pośredniego pomiędzy sportowcem wyczynowym a przestępcą. Niektórzy obchodzą mnie z daleka, aby nie znaleźć okazji do podania mi ręki. Oni chętnie, gdyby starczyło im odwagi, spluwaliby na mój widok. Inni gratulują z domieszką przekąsu: „no, no... że się też ksiądz... o, przepraszam najmocniej... pan na to zdołał!”. Spotykam również sporo takich, którzy przyzna-

ją mi rację: Ale legenda o-toczyła mnie, a od legendy już tylko mały skok do mitu: stałem się bohaterem, do którego glorii wcale się nie poczuwam. Bo każdy człowiek posiada prawo wolnego wyboru — i dlatego to ja nie mogłem z niego skorzystać? Śmieszne i zarazem zastraszające, że w kwestiach religii i wiary, pewna część opinii publicznej, tej kołtuńskiej, tej ciasno tradycyjnej, bezapelacyjnie odrzuca to prawo. Śmieszne ze względu na czas, który nie uznaje kompromisu. Tragiczne z powodu ich samych — bo przecież to oni stają się coraz bardziej ostatnimi Mohikanami.

W samym B. będą mnie długo pamiętać. Dla stosunków wiejskich była to prawie rewolucja: ksiądz zrzucił sutannę. W M. musi zacząć się coś zmieniać, rugować. M. nie uniknie pewnych konsekwencji społecznych. Pierwsze już zaznaczają się w komentarzach: powiada, że jestem płodem szatana, że dosięgnie mnie ramię sprawiedliwości, tej, oczywiście, irracjonalnej, boskiej, lub: że może — to „może” boli mnie szczególnie — może i mia-

łem prawo coś podobnego uczynić? W każdym razie, na pewno przez długi czas mój przykład posłuży jako przestroga albo jako argument: był u nas taki jeden ksiądz... — ten epitet: ksiądz... — przylgnął do mnie i boję się, że zagraża mojemu wejściu do normalnej społeczności. Ale, może z czasem zatrze się, chociaż... I właśnie — dlaczego? Dlaczego muszę się liczyć z ewentualnością: chociaż? Czy ktoś zapytał mnie, jak to się stało, że zostałem księdzem? Albo — dlaczego nim przestałem być? Nie. Nikt nie zapytał nawet o moje zaangażowanie w kwestię wiary. A przecież — tylu ludzi myli się w wyborze zawodu. Zmuszają ich takie czy inne okoliczności — zostają na przykład złym lekarzem, zamiast być dobrym nauczycielem. Ze mną tak samo było.

Wśród potępienia lub aplauzu nie pytało mnie o moje przekonania. A szkoda. Ktoś powiedział: „W M. po tym wyczynie, według wszelkich reguł, powinien nastąpić kryzys religijności”. Kryzys religijności zaczął się dużo wcześniej, i nie tylko w lokalnym M. Jednak nie jestem pewien, czy można swobodnie użyć tego określenia: „kryzys”? Ze w M. inni, dotychczas ukrywający swoje przekonania, przestali oddać czapkę przed kościołem i proboszczem, że młodzież odważyła się po raz pierwszy w dziejach M. bawić w czasie postu na tańcach zabawie, że pewne małżeństwo zaczęło żyć ze sobą na wiare, poprzestając na samym ślubie cywilnym, że jakieś inne odmówiło proboszczowi zapłacenia żądanej sumy za udzielenie ślubu, że, być może, w jakiejś rodzinie nie ochrzczono z tych samych powodów noworodka, to wszystko jeszcze za mało, aby mówić o procesie szybko postępującego kryzysu. Ze wszystkich ewolucji, ta, w kwestiach wiary, wymaga najwięcej czasu. Przewyciężenie tradycji i przyzwyczajenia nie dokonuje się w tempie przyspieszonym, na to nie ma norm produkcyjnych, które można wykonać szybciej, czy poddać racjonalizacji. Nie znam się na wielkich sprawach. Tylko tak sobie głośno myślę. Staram się po prostu zrozumieć lepiej samego siebie.

Bo ludzie nie zastanawiają się nad tym, dlaczego wierzą, czy też w ogóle wierzą. Praktykują z przyzwyczajenia. Takie pytania, wprawiłyby w kłopot przynajmniej co drugiego, „uczciwego” katolika, bez względu na stopień wykształcenia. Uarty to w końcu zwyczaj: rodzi się dziecko, a więc wyprawia się mu chrzest, uczy modlitwy wcześniej niż tabliczki mnożenia, prowadzi się ze sobą na niedzielne msze, wprowadza w tradycję święta kościelne. To są dla wielu pierwsze wspomnienia z dzieciństwa: spełnienie się dziecięcych marzeń pod choinką: rewolwer na kapiszonny, auto na kluczyk; dla wielu jest to synonimem rodziny i obyczaju. No i to przyzwyczajenie. Wiare dziecięcy się jak nazwisko. Wiele trudno zostać odeszczeniem. Tym bardziej tam, gdzie wszyscy znają się od dziadów, i wiedzą o sobie wszystko. Ale, co tam. Nie znam się na mądrościach. Nawet w sutannie ma się tyle normalnych, zdrowych kłopotów, codziennych, ludzkich zmartwień, że nie starczy czasu na spekulacje wyższego rzędu. Nigdy nie miałem filozofować. Dla mnie: czarne, to czarne. Białe to białe.

Kiedy w klasztorze, po zajęciach mocno prozaicznych jak gotowanie, sprzątanie łącznie z szorowaniem ustępów — zostawał mi czas, mnóstwo czasu — gdy w klimacie klasztornej ascezy i klauzuli, ścisłego reglamentu, czas dłużył się potwornie, a powinienem był go wykorzystywać na rozmyślanie o marności świata ziemskiego, przeciwstawiać doskonałości niebieskie-

go, wołałem sobie wyobrazić, co by było, gdyby ta dziewczyna, przez którą poszedłem do klasztoru, chciała mnie i jak by to było, gdyby mnie chciała.

Kiedyś w tym samym klasztorze musieli odprawiać pokuty — na przykład w każdy piątek odbywało się wspólne biczowanie, — tak, tak, nie średniowieczne, nie „Siódma pieczęć” Bergmana, dwudziesty wiek, druga jego połowa, biczowanie batami w rytm modlitwy, w ciemnościach, bo wygaszono światła — biczowanie dla wypędzenia pokus cielesnych, sił nieczystych — tak, tak, prawie egzorcyzmy Matki Joanny — starałem się użyć sobie, myśląc o jutrzejszym śniadaniu, albo o smaku wina mszalnego, dającego nam w święta.

W czasie tych biczowań bynajmniej nie ekscytowałem się męczeństwem świętych Andrzeja Boboli czy innych, którymi religia się szczyci — tylko nad tym — jaki ja byłem głupi, wstępując do klasztoru, i że dziewczyna, dla której to zrobiłem, była jeszcze większą idiotką ode mnie, a wobec tego należy zmykać do ludzi, do życia, bo się tu do reszty zgłupieję.

Do Boga przyzwyczajano mnie jak do stawy — placów kartoflanych czy naleśników z mięsem. Jak to na wsi. Imię boskie przepłata się gęsto-często siarczystymi przekleństwami, tak że nielato odróżnić: co

dzanego — no tak, napisałem, ale nie przejechała, nawet nie odpisała.

Taki był ze mnie zakonnik. Po paru miesiącach całowania spoconych rąk przełożonego, szorowania ustępów i cotygodniowego biczowania, uciekłem. Dokąd? — Oczywiście, do rodziny, na wieś. Ale tam zaczęło się. Ksiądz proboszcz zjednywał moją duszę obietnicami, matka i ojciec — pogroźkami. Te ostatnie zaważyły. Były bardzo konkretne: Jeżeli nie „pójdziesz na księdza” — ani grosza i won z domu.

Pojechałem do seminarium.

Czy można więc powiedzieć: powołanie? Po prostu: brak innej możliwości. Potrzeba życia. Mus. Siła wyższa.

Po sześciu latach otrzymałem święcenia. W ciągu tych sześciu lat rodzice akuratnie, co miesiąc, przysyłali mi trochę pieniędzy. Nie za dużo, ale jak na nich, którzy na każdą pięciogroszówkę trzy razy popłuli, aby im się pomnożyła — były to zawrotne sumy. Czy kierowali się wiarą? Sądzę, że i oni nie. Ich syn będzie księdzem. Trzeba znać wieś, aby wiedzieć, czym jest, lub czym był — ksiądz na wsi. Jakim autorytetem. Nie oparł mu się i przewodniczący gromadzkiej rady, ba! i nawet sekretarz POP. — Na praktykach spotkałem takiego, co prowadził pod maskiet księdza w czasie

je? — powiedział kiedyś jeden z nich.

Właśnie. Ludzie się gorszą, kiedy ksiądz chce być człowiekiem. Nie gorszą się natomiast, gdy ksiądz żąda od nich wysokich świadczeń materialnych za czyny, które jako kapłan, powinien świadczyć bezinteresownie. Tych rozbieżności pomiędzy słowem a czynem nie widzą. Chociaż właściwie, to nie mam racji. Widzą. Coraz więcej. Nareszcie. I od tego zaczyna się kryzys religijności. Właśnie od tego.

Na sprawach wielkich i wzniosłych nigdy się nie znałem. Nie nauczyłem się ich podczas biczowania w klasztorze, ani podczas sześciolatniej nauki w seminarium. Nie miałem w sobie powołania. Ładnie to brzmi: powołanie, ale nie powinno się nim bajerować. W pewnych kręgach pokutuje wciąż jeszcze mit o rzekomym awan sie społecznym, często — nadzieja na nielichy zarobek — co jest już bardziej uzasadnione, czasami, zgola romantycznie: pragnienie przygody, wyjazd do jakichś krajów z misją. Na powołanie zostaje bardzo mało miejsca. Tyle co nie. W naszych laickich czasach szkoda zresztą wyszukiwać argumentów za metafizyką, lepiej znajdować je za życiem.

Dlatego w M. byłem wszędzie tam, gdzie ksiądz nie powinien być. Zorganizowałem nawet... koło ZMW. Przychodzili do mnie młodzi, na plotki, na żale, na zwierzenia, po porady. Na modlitwę też, czemu by nie? Wywnętrzał się. Szukali pomocy. Dzielił się radościami i smutkami. Kim się wtedy czułem? Rzecz jasna — człowiekiem, a nie księdzem. Bo to jest różnica. Ksiądz powinien straszyć pokutą, piekłem i diabłem. Ale ludzie już, niestety, w diabłów nie wierzą, piekło dla nich jest daleko, a pokuty dostarcza wystarczająco samo życie. A anioły? Święci od urodzajów, dobrych synów? — Dzieci, dopóki nie dorosną, też wierzą w krasnoludki. Anioły są niegroźne. Zazwyczaj, w chwilach prawdziwej potrzeby, głuchną i ślepną.

Sumienie — ktoś powiedział, że nie mam sumienia. Ze zdrada. Małostkowość. Ja tam nie znam się na wielkich słowach. Zostawiam je innym. Ale o swoich przekonaniach, sam wiem najlepiej. I jeżeli już mowa o sumieniu, mam je czyste. To właśnie to sumienie, którego mi podobno brakuje, nie pozwalało brać pieniędzy za ludzką radość czy rozpacz. Chociaż, przynajmniej, lubię pieniądze, to czułem się niejednokrotnie jak pospolity złodziej. Obdzierałem ludzi z zaufania, a oni mi za to płacili. Łączyłem ich na wspólne życie — a oni mi za to płacili. Odmawiałem modlitwę nad otwartym grobem, słyszałem płacz matki, ojca — i oni mi za to płacili. Upokarzając, w kolizji z elementarnymi pojęciami „człowiek — ludzkie” — wyciągałem rękę po ekwiwalent materialny za pocieszenie, za złudzenie. Nie potrafiłem długo tego robić. Nie daję się spełniać zawodu księdza. Bo to nie zawód. Inni, którzy go tak traktują, zasłaniając się wielkimi słowami ewangelii, powinni raczej zastanowić się nad sobą — czy są w zgodzie ze swoim sumieniem człowieka? Bo to, kapłańskie, jest mgliste, niepełne, i nie wiadomo, gdzie go szukać. Nie ma nań sprawdzianu w codziennym życiu.

Tak więc — coś przestało pasować.

A pomijając sprawy sumienia, chociaż w wymiarze jednostki one są decydujące, — to normalny człowiek dąży do życia wspólnie z innymi. Ta wysepka — plebania, nie ma zbyt wielu więzów z ludźmi. Skłamałbym, gdybym powiedział inaczej. Więc, żeby dłużej nie kłamać, dokonałem wyboru. Wróciłem. Do życia. Do ludzi. Bo jestem jednym z nich. Takim samym jak oni, ani lepszym, ani gorszym. Dlatego wróciłem.

EWA OSTROWSKA

## ROZMOWA ODGŁOSÓW Z: mgr Krystyną Kondratiuk



(Dalszy ciąg ze str. 2)

zakardy i najprostsze tkaniny nicienicowe; z tych najciekawsze przynajmniej dla zagranicy są na pewno tak zwane tkaniny podwójne, oparte na starej technice ludowej, w innych krajach prawie nie spotykane. — Była Pani komisarzem ekspozycji polskiej na Biennale Tkaniny Artystycznej w Lozannie. Otrzymałyśmy stamtąd od Pani korespondencję, za którą serdecznie dziękujemy i którą wkrótce opublikujemy, niestety z pewnym — ze względów technicznych — opóźnieniem. Antycypując Pani relacje szwajcarskie — mieliśmy tam niewielkie możliwości pokazania się (ograniczona powierzchnia i ilość ekspozycji), ale i tak zyskałyśmy wielką sławę. Wyniosła Pani stamtąd zapewne prócz satysfakcji szeroki skalę wartościującego-porównawczego. Jak Pani sądzi, jak by w Lozannie przyjęto sopoeką wystawę? — Wszystkie tkaniny jakie

zademonstrowaliśmy na Biennale cieszyły się ogromnym zainteresowaniem międzynarodowej krytyki i publiczności, co objawiło się m. in. w doskonałych recenzjach prasowych i propozycjach zakupu. Jestem głęboko przekonana, że i nasza sopoeka wystawa miałaby tam zapewnić powodzenie. Zresztą przed paroma dniami otrzymaliśmy zaproszenie do udziału w następnym Biennale, gdzie będziemy mogli zademonstrować większą ilość tkanin o różnorodnej technice.

— Które techniki i konkretne dzieła wypadłyby zdaniami Pani najlepiej, które można uznać za najbardziej nowatorskie?

— Częściową odpowiedź na to otrzymał już Pan wyżej, kiedy mówiłem o tkaninach podwójnych, ale te nie są raczej nowatorskie. Właśnie na Biennale w Lozannie krytycy orzekli, że wystawiane przez nas gobeliny w swych poszukiwaniach nowych rozwiązań technicznych i kompozycyjnych przodują, a nawet zrewolucjonizowały dotychczas przyjęte kanony.

— Czy łodzie mogą mieć nadzieję, iż ujrzą ten arcyinteresujący zestaw ekspozycji bez potrzeby udawania się w podróż turystyczną lub służbową?

— Jako łodzianka myślę zawsze przede wszystkim o Łodzi i gdy tylko uzyskam odpowiedni lokal zademonstrujemy miastu nasze coraz bogatsze zbiory.

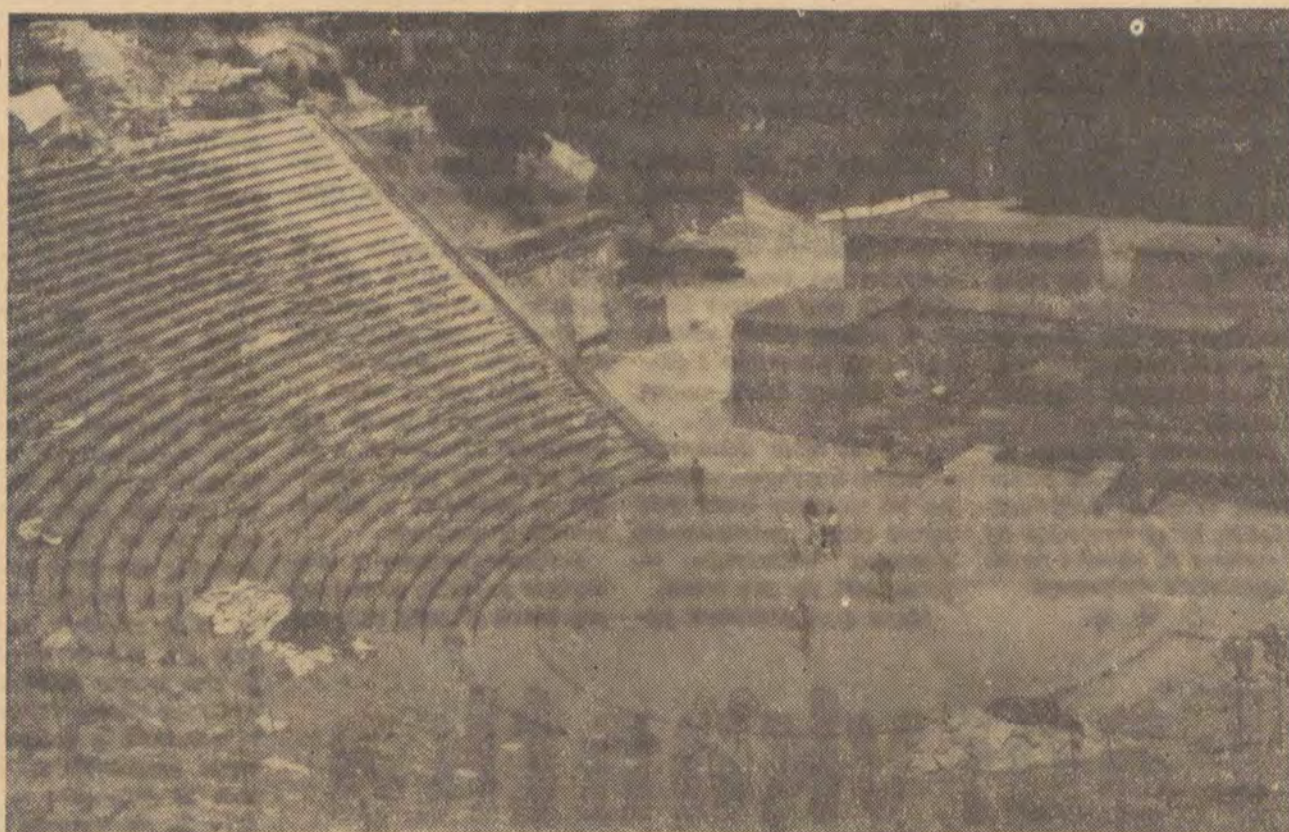
Chciałabym bardzo po zakończeniu ekspozycji w Lozannie pokazać łodzianom wystawiane tam gobeliny, ale ze względu na ich rozmiar (każdy ponad 12 m<sup>2</sup>) w obecnych warunkach lokalowych również nie będzie w stanie tego uczynić.

Wiem jednak, że władze łódzkie znając naszą sytuację i doceniając znaczenie naszej placówki we włókienniczym mieście, pomogą nam jak najszybciej przebrnąć przez trudny etap remontów i adaptacji gmachu i dlatego wierzę, że w niedalekiej przyszłości wszystkie gromadzone przez nas unikatowe tkaniny i inne eksponaty będziemy wspólnie w Łodzi oglądać.

— Czego sobie nawzajem życzymy.

Rozmawiał  
ZBIGNIEW CHYLIŃSKI





WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# Amfiteatr w Epidaurze

Teatr w Epidauros należy do najlepiej zachowanych w całej Grecji. Zbudowany został w IV wieku p.n.e. przez rzeźbiarza i architekta Polikleta Młodszego. Amfiteatrna widownia zatacza regularny półkrąg, a właściwie więcej niż półkrąg. Coś w rodzaju tortu z wykrojonym z jednej strony sporym kawalkiem.

W tym wykroju właśnie mieści się orkestra, okrągły placik o dwudziestometrowej średnicy, wyłożony szlifowanym gładko kamieniem. Po środku znajduje się okrągły, płaski głaz, występujący nieco ponad powierzchnię orkiestry. Już starożytni stwierdzili, że wystarczy w tym właśnie miejscu rzucić z wysokości metra miedzianego obola, by brzęk jego można było usłyszeć w najodleglejszych nawet zakątkach amfiteatru.

Sprawdzaliśmy. Brzęk współczesnej drachmy słyszalny jest nawet w najwyższych rzędach, podobnie jak słowa wypowiedziane normalnym głosem. Dzięki znajomości praw akustycznych przez starożytnego architekta niepotrzebna jest dziś megafonizacja teatru. Piętnaście tysięcy widzów rozmieszczonych w 55 rzędach amfiteatru słyszy wyraźnie każde słowo wypowiedziane przez aktorów na orkestrze.

Miejsce na amfiteatr w Epidauros wybrali starożytni, świetnie. Zachodni stok gó-

ry Kynortion stwarza naturalną pochyłość dla amfiteatralnie ustawionych kamiennych ław dla widzów. Soczysta zielen argolidzkiej doliny i masywy gór stanowiące tło dla sceny tworzą dla granych tu sztuk antycznych niepowtarzalną oprawę.

W czerwcu i lipcu tego roku po raz ósmy już z rzędu odbywał się tu festiwal sztuk starogreckich. Miałem okazję uczestniczyć w jednym z takich przedstawień i wrażeniami swoimi chciałem się podzielić z czytelnikami. W dniu, w którym bawilem w Epidaurze odbywała się właśnie światowa prapremiera tragedii Eurypidesa „Helena”. Chodzi o oczywiście o prapremierę nowożytną.

Epidauros leży na terenie Argolidy w odległości około 150 km od Aten. Co niedzielę, w czasie trwania festiwalu szosą od Aten suną tu tysiące samochodów i autokarów. Sprężyste działające policja turystyczna kieruje tę gigantyczną falę pojazdów na obszerne parkingi. Wielotysięczny, różnorodny tłum płynie wezbrana rzeką ku bramom amfiteatru. Po obu stronach drogi ustawione są kioski i stragany, sprzedające upominki i pamiątki, artykuły spożywcze, napoje chłodzące i owoce.

Bileterzy przy bramach rozczłonkują napływającą

falę ludzką na drobne strumyki, kierując je do odpowiednich zon i sektorów. Żadnych przy tym zahamowań, żadnych nieporozumień. Widownia stopniowo zapełnia się. Zachodzące słońce świeci siedzącym prosto w oczy. Dlatego przedstawienie zaczyna się dopiero, gdy rozpalona kula schowa się za szczyty górskie na horyzoncie.

Nim ten moment nastąpił, na przedstawienie przybył premier grecki Karmanlis w otoczeniu ministrów. Pewnie by uczyć w ten sposób prapremierę światową. Zaledwie zasiadł na kamiennych ławie rozpoczął się spektakl. Poprzedził go pochód aktorów i statystów, zbliżający się z zewnętrznej strony amfiteatru ku budynkowi scenicznemu. Amfiteatr nie ma właściwie kulis. Aktor, który za chwilę ma wkroczyć do akcji skrada się ukradkiem ku orkestrze na oczach widzów.

Właśnie zaszło słońce i bardzo szybko zapada zmierzch. Na orkestrze krzyżują się światła z reflektorów. Przedstawienie zaczęło się. Sztuka Eurypidesa oparta jest na mniej znanej wersji mitu o pięknej Helenie. Według niego urodziła królowa nie zdradziła Menelausa z Parysem. To Hera rozgniewana niekorzystnym dla siebie wyrokiem sądu Parysa stworzyła sobowtóra Heleny i właśnie ta fałszywa Helena stała się

powodem długiej i krwawej wojny trojańskiej. Prawdziwa królowa przeniesiona przez Hermesa do Egiptu pędzi tam życie nieszczęśliwej lecz wiernej małżonki i marzy o powrocie na łono rodziny...

Rolę Heleny gra przejmująco aktorka ateńska Anna Synodinou. Za tło służy jej kilkunastoosobowy chór kobiet greckich, poruszający się rytmicznie, jak za podciąganiem niewidzialnych nitów i zamierzający w symetrycznym rozstawieniu, co patrzącej z góry widowni stwarza szczególnie efektowny widok. Zdarzyło się, że jedna z chórzystek w czasie przedstawienia nagle zemdlła. Wyniesiono ją błyskawicznie ze sceny i rzecz byłaby niemal niezauważalna, gdyby nie fakt, że do końca spektaklu chór ustawiał się zgodnie z zaplanowanym ruchem scenicznym. Więc stało się, że jedno miejsce jest nie zajęte.

Aktorzy grali manierą dość tradycyjną, ale chyba w tym wielkim teatrze pod gołym niebem tak właśnie grać trzeba. Nawet pałos nie raził w tej jedynej w swoim rodzaju scenerii. Obcokrajowiec tracił oczywiście wiele, gdyż sztuka grana była w języku nowogreckim, a przecież nastrój amfiteatru działał tak silnie, że mowy nawet być nie mogło o nudzie.

Festiwalowe spektakle w Epidaurze cieszą się zawsze niestabnym powodzeniem wśród Greków i wśród zagranicznych turystów. Nikogo nie odstrasza fakt, że bilety kosztują do 75 drachm (dwa i pół dolara). Muszę tu zresztą zaraz gwoił prawdzie uzupełnić, że na występie Callas w tym samym amfiteatrze ceny miejsce dochodziły do 500 drachm, a tutejsze „koniki” sprzedawały pokutnie bilety nawet po 2000 drachm.

Przedstawienie „Heleny” zakończyło się gorącą owacją widowni. Główni aktorzy wychodzili raz po raz na orkestrę, wywoływani przez publiczność. W pewnej chwili podszedł do nich premier, osobiście podziękować za piękną grę.

I znowu do głosu dochodzi świetna organizacja. Rozładowanie potężnego korka, jaki tworzy się przy bramach, odbywa się sprawnie. W ciągu niespełna pół godziny amfiteatr pustoszeje. Również szybko opróżniają się parkingi. Samochody i autokary odpływają nieprzerwanym sznurem. Ponieważ szosa wznosi się w górę serpentynami, widok jest niesamowity. Reflektory i światła tylne samochodów układają się w jakiegoś gigantycznego, mieniącego się blaskiem węża. Wije on się szerokimi zakosami i stale wydłuża. Ten powrót w kierunku Aten był pięknym uzupełnieniem wrażenia, jakim wypełniony był ten dzień.

Myślę, że wspomnienie spektaklu w Epidaurze towarzyszyć mi będzie zawsze, ilekroć przekroczę próg teatru.



## informacje i zaczepki

● Ogłoszono ostatnio wyniki konkursu na powieść o Łodzi. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że... nie ma laureatów. Poziom konkursu był w jednej strony tak niski, z drugiej zaś autorzy pisali nie na temat tak, że jury nie mogło się zdecydować. Skompromitowaliśmy się potężnie.

● „A wszystkim winne „Odgłosy” — pisze Marek z „Expressu” w swoim felietonie polemizując z artykułem Brychta, o łódzkiej gastronomii. Polemika to dość zabawna bowiem, Marek w końcu przyznaje, że „gastronomia łódzka nie jest święta”, nie podoba mu się jednak „wylizanie żalów i pretensji”. Nie u tego nie rozumiemy. A może Marek jest po prostu uczulony na „Odgłosy”?

● W ogłoszonym przez „Współczesność” konkursie na recenzję książkową pierwszą nagrodę otrzymała p. Krystyna Nowicka z Łodzi za pracę o „Pięknej chorobie”. Mieczysława Jastruna.

● Niedawno otwartą kawiarnię w „Pałacyku” przy ul. Piotrkowskiej 262. Piękny obiekt otrzymała łódzka młodzież z inicjatywy Komitetu Łódzkiego ZMS.

● Prawie pół miliona złotych zebrali łódzcy ZMS-owcy na budowę szkół Tysiąclecia.

J.W.

MIECZYŚLAW STANCIK

*Proba pominięcia ptaka*

Czymże jest ptak

To tylko srebrny puls przestrzeni,  
Powietrze zagęszczone do zarysu skrzydeł;  
Żywa szczelina głosu upierzona cieniem,  
Ostatnia myśl Ikara, wrosła w lotne imię.

Czymże jest ptak wpisany ruchem w mróz lub w upał,

Pod niebem obojętnym jak przydrożny kamień —  
To tylko Nic widoczne, to powietrza supel,  
To srebrny puls przestrzeni przede mną i za mną.

**Zima**

Za drzwiami zimy co jest Jaka żółć i zieleni  
Jakim kwiatom oddana w posiadanie ziemia  
Jakich ptaków w powietrzu krzyżuje się przelot  
Jak wysokie jest światło Jak głęboka ciemność.

Za drzwiami zimy co jest  
Drzwi zimy zamknięte  
Wrona nade mną skrzypi jak złamana gałąź  
Jak żółto „żółć” powiedzieć jak zielono „zieleni”  
Jak drzwi zimy otworzyć by wyjść poza białosć.

*Kobiety Renoira*

Więc najpierw tło: drga ściana zielonkawym światłem.

A pod zielonym cieniem różowe i senne  
Siedzą nagie kobiety o łagodnych twarzach,  
Kształt piersi modelują w miękko-ciepłych rękach.

Czas jest zlocistożółty. Cisza brzęczy pszczołą.  
W głębi ciszy drga ściana zielonkawym światłem.  
A pod zielonym cieniem, różowe i gołe  
Kobiety Renoira, w zbyt cielesnych kształtach.





## Z notatnika prokuratora

Było to 3 października 1959 roku. Pracownica Kasy Pogrzebowej jednych z łódzkich zakładów przemysłu bawełnianego Kazimiera S. wracała właśnie do pracy po załatwieniu formalności związanych z wypłatą zasiłku pogrzebowego za zmarłą rencistkę Stefanję J. — była robotnicę ZPB. Stefanja J. była jej koleżanką i Kazimiera ze smutkiem ją wspominała. Wczoraj zgłosiła się do Kasy Pogrzebowej młoda, ładna, zapłakana kobieta, okazała akt zgonu Stefanji J. wystawiony przez Urząd Stanu Cywilnego Łódź-Chojny i Kazimiera S. wypłaciła jej na koszt pogrzebu 3000 zł. Popłakały się obie wspominając zmarłą. Mój Boże! Wylew krwi do mózgu! Nie było żadnego ratunku. Kto by to mógł przypuszczać, Stefanja prawie nigdy nie chorowała...

Kazimiera zatrzymała się przed wystawą sklepu z kosmetykami i wtedy właśnie ujrzała w szybie odbicie Stefanji. Zadrżała i zamknęła na chwilę oczy. Gdy je otworzyła — zjawy nie zniknęła. Przeciwnie — z uśmiechem zbliżyła się do niej. Kazimiera S. odwróciła się gwałtownie i szybkim krokiem przeszła na drugą stronę Piotrkowskiej. Serce biło jej jak mło-

tem. Przypominała sobie wiadomości o duchach. Jasne, duchy unikają zatłoczonych ulic wielkich miast, zwłaszcza podczas dnia. Przywidzenie? Spojrzała za siebie i aż krzyknęła. Teraz nie było już żadnej wątpliwości. Zmarła wyraźnie dążyła do spotkania. Kazimiera S. biegła szybko potrącając przechodniów. Wpadła do pierwszej napotkanej bramy i rzuciła się w kierunku schodów. Zatrzymała się jednak słysząc, że ktoś woła ją po imieniu i wyciągnęła przed siebie ręce ruchem obronnym, widząc że „widmo” weszło za nią na klatkę schodową.

— Kaziu, dlaczego ode mnie uciekasz?

— Czego chcesz? — krzyknęła Kazimiera S. — przecież nigdy ci nie złego nie zrobiłam?

Dziwna to była rozmowa. W XX wieku rzadko się takie rozmowy zdarzają. Po jakimś czasie wyjaśniło się, że Stefanja J. nie wie o swojej śmierci i w dalszym ciągu cieszy się dobrym zdrowiem. Co prawda rzekoma zmarła, zaszokowana wiadomością o własnej śmierci, wylewie krwi do mózgu, zasiłku pogrzebowym i oplakiwaniu przez koleżanki, przejęła się do tego stopnia, że osłabła i trzeba

ją było odwieźć do domu, gdzie położyła się do łóżka, zaś Kazimiera pełna niecodziennych wrażeń udała się do zakładu pracy, gdzie swoim opowiadaniem wzbudziła zrozumiałą sensację.

Tegoż dnia delegacja zakładów udała się do prokuratora dzielnicy Łódź-Sródmieście, który wysłuchał tej niecodziennej relacji i wydał odpowiednie dyspozycje.

\* \* \*

## Fabrykantka umarłych

Gdyby ktoś zainteresował się, co tego dnia robiły dwie młode kobiety Teresa Wężyk i Maria D. — byłby co najmniej zdziwiony.

Oto idą właśnie ulicą Tuwima.

— No, dobry dzisiaj dzień — mówi Wężykowa, zacierając ręce. — Mamy już trzech.

— O, tam wisi czwarty — woła Maria D.

Podchodzą do klepsydry.

Widać, że dopiero co została rozlepiona. Świeży klej lśni na mokrym papierze. Wężykowa wyjmując notes i skrupulatnie zapisuje imię i nazwisko zmarłej, oraz datę zgonu.

— Dosyć na dziś. Jedziemy do domu — decyduje Wężykowa.

W mieszkaniu Wężykowej wszystko już przygotowane. Maria D. przy pomocy koleżanki wkłada czarną sukienkę, czarne pończochy i pantofle. Dostaje także czarną torebkę.

— Tutaj masz dokumenty — mówi Wężykowa wręczając jej skrócony odpis aktu zgonu oraz zaświadczenie Komitetu Blokowego — patrz, nikt nie nie pozna.

Maria D. z podziwem pa-

gląda za nią. Też jest zde nerwowana. Zapala papierosa. Nie jest zadowolona z tego, że musiała sobie dobrać współniczkę. Samej „pracować” zawsze bezpiecznie, jednak „interes” zaczął się rozrastać coraz bardziej. Nie mogła już działać sama.

Chwile oczekiwania dłuży się. Nareszcie! Maria D. szybkim krokiem wychodzi z biura i zbliża się do niej. Jest bardzo podniecona.

— Udało się! — mówi — to jest zupełnie proste. Ale beczalam! Nikt nawet o nic nie pytał. Ty jesteś genialna! — oświadcza z nieklamnym zachwytem.

Podjęcie pieniędzy z banku było już tylko formalnością. Maria D. całe otrzyma-

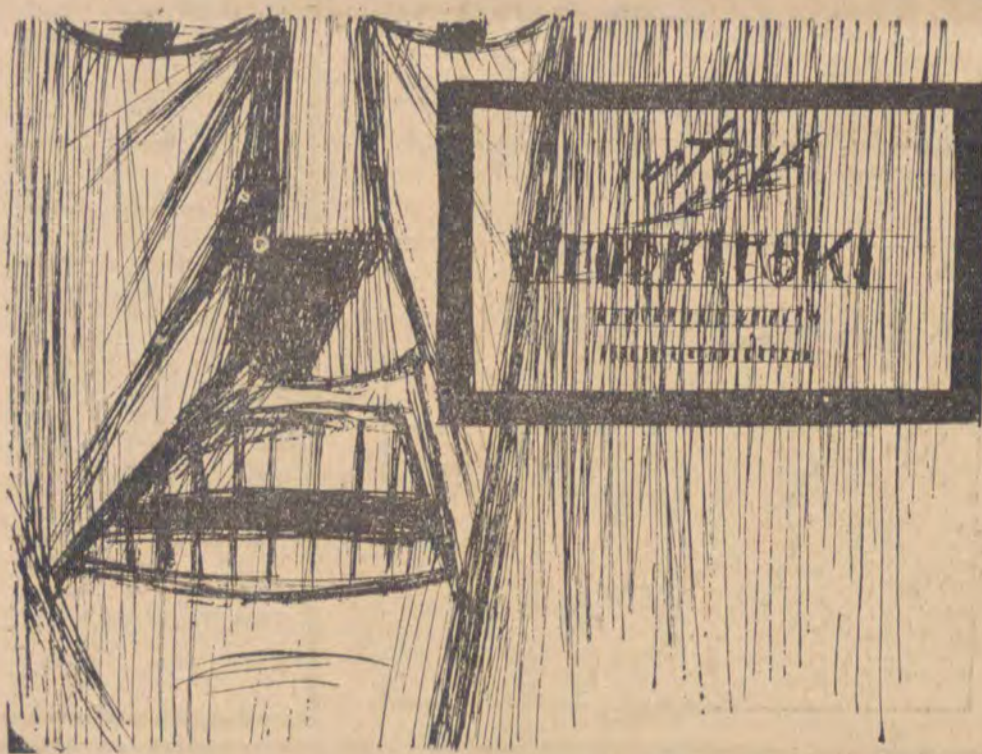
wesoła i uśmiechnięta. Sądziła, że na przestępstwie można budować przyszłość.

Tak więc doszło do spółki. Pierwszej, ale nie ostatniej. Interes prosperował znakomicie. Pieniądze szerokim strumieniem płynęły do kieszeni Wężykowej. Nie było powodów do zmartwień. Ani grabież społecznych pieniędzy, ani masowe „uśmiercanie”, nawet osób najbliższych — nie spędzało snu z powiek. Młode kobiety w żalobie często pojawiały się przed biurkami urzędników Kas Pogrzebowych dużych łódzkich zakładów. Wężykowa zdawała sobie sprawę z tego, że na dłuższą metę proceder ten może być niebezpieczny. Przecież w końcu jakiś urzędnik zainteresuje się, jak to się dzieje, że tym samym osobom stale umierają bliscy. Trzeba było pomyśleć o doborze nowych pracowników. Wybór padł na koleżankę — Henrykę K. Ta wyraziła zgodę. Pracowały zatem we trójkę, aczkolwiek Maria D. i Henryka K. nie o sobie nie wiedziały. Poznały się dopiero w Prokuraturze. Każda z nich sądziła, że tylko ona dostąpiła zaszczytu współpracy z mistrzynią. Tymczasem Wężykowa stale obawiając się wzbudzenia podejrzeń zbyt częstymi odwiedzinami w Kasach Pogrzebowych, dokooptowuje do współpracy także swego męża Waldemara Wężyka. Przestrzega nadal skrupulatnie, aby poszczególne osoby wchodzące w skład jej grupy nie o sobie nie wiedziały. Kasy Pogrzebowe nieświadomie oplacają sute libacje w domu Wężyków, gdzie trwa nieustanna stypa i co parę dni uroczyste obchodzą się nową żałobą. A rzekomi nieboszczyki spacerują po ulicach Łodzi...

Kiedy milicja wkroczyła do mieszkania Wężykowej, ta nie okazała nawet zbyt wielkiego zdziwienia.

Zachłanność mnie zgubiła — powiedziała na drugi dzień przesłuchującemu ją prokuratorowi — ale niech pan będzie pobłażliwy, bo jestem jeszcze młoda, nie byłam dotąd karana i mam dziecko. — To było wszystko, co miała do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie.

**Dlaczego Wężykowa tak długo mogła bezkarnie fabrykować umarłych? Dlaczego tak długo oszukiwała pracowników kas pogrzebowych szeregu zakładów pracy? Odpowiedź na te pytania znajdziecie w następnym numerze.**



JERZY WALEŃCZYK

## Zbigniewa Herberta „Studium przedmiotu”

Jakże trudno znaleźć dziś zbiór poezji — tak pełnych myśli i tak bogatych w formy i pomysły jakim jest „Studium przedmiotu”. Na tle pojawiających się tu i ówdzie publikacji pełnych mętnego żargonu i niejasnego mistycyzmu, dekoracyjnych enuncjacji serenadowych, czy amorficznych konstrukcji tak aluzyjnych,

że nierzeczywistych ani jako forma, ani jako treść, ani jako intencja, na tle parafraz parodystycznych wielkich poetów, na tle knajackich pastiszów, nieprzetłumaczalnych na „wzruszenie” ani na jakąkolwiek, cokolwiek znaczącą refleksję intelektualną, na tle kalekiego leksykonu atomizującego zbitki sylab nie wiadomo w

imie czego, na tle nowych prób niewiarygodnych relacji estetycznych, prób związków szokujących lekceważeniem dla języka polskiego — dojrzałe, wiejące jakimś mądrym aurea mediocritas, poezje Zbigniewa Herberta są pięknym zjawiskiem.

Liryka Herberta, kameralna i nowoczesna, jako konstrukcja, jako gatunek wrażliwości, jest daleka od gorących bilansów z tym nie najlepszym ze światów, daleka od spontaniczności. Spokojna, prowadzi nas w sedno zagadnień współczesnego umysłu zdeteminowanego kategoriami czasu i przestrzeni, w sedno trosk filozoficznych i historyzoficznych współczesnego Polaka.

Zbigniew Herbert — myśliciel orkiestruje przedmiotami i pojęciami, posiada

tajemnicę palczki Prospera, zaklina metafory, które może przypominać nam tych czy innych poetów, zsyła czytelnikowi swoją samotność, jakże ludzką i bliską ludzi. Autor „Trenu Fortynbrasa”, tłumaczonego w Anglii, wspaniałego trenu z echemi Norwida i elegijnych poetów Powstania Warszawskiego, poeta zaciskający się w kręgach epoki, autor „Powrotu prokonsula”. znalazł klucz do problemu młodej inteligencji twórczej, i obrysował go linią czystą i dramatyczną. Ach, ta swoista, jakże swoista wiara: jakoś to będzie. „Postanowiłem wrócić na dwór cesarza, mam naprawdę nadzieję, że jakoś to się ułoży”.

Ileż spokoju godnego znajdujemy w tym zbiorze, bez sztuczek, bez akcentów wątpliwie arystokratycznych,

ileż opanowania, koncentracji myśli i formy. I problem strachu przyciętego mądrymi nożycami jak krzew w ogrodzie wersalskim i to: „Es ist schon spät wir müssen uns beeilen” przywiezione z wojaży zagranicznych, i „akty strzeliste głębokiego oddechu”.

Zbigniew Herbert jest nie tylko z tych względów, które przytoczyłem, niezwykle interesującą relacją możliwości młodej poezji polskiej do jej dotychczasowych osiągnięć. Przypominam o szerokim wachlarzu zainteresowań intelektualnych, o jego fenomenalnym „oku wewnętrznym”.

Przypominam sobie taką scenę u drzwi wejściowych hotelu „Ambasador” w Pradze. Wchodzi Herbert z zapasem farb czeskich. Ktoś pyta: „Malujesz również, tak trochę amatorsko?”. Herbert uśmiecha się pobłażliwie i wyrozumiale mówi: „Mój drogi, tylko amatorskie uprawianie sztuki może zapewnić sukcesy międzynarodowe”.

Piękno nie jest profesjonalne. Piękno jest amatorskie, w pozytywnym sensie tego znaczenia, to znaczy spontaniczne, konieczne, nieodwołalne. A Zbigniew Herbert jest mądrym poetą, dobrym ogrodnikiem.

„Dobry ogrodnik Podpiera kwiat patykłem, Człowieka radością, Słońce błękitem”.





o rannej godzinie

11

Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale do opuszczenia więzienia. Magda nie wróciła do matki, zatrzymała się u siostry Marioli. Przyjaciółki trwały w ścisłym związku. Niektórzy goście weselni, zwia-  
szcza kolega pana młodszego Tosiaka, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały tuż konta wesela i pojechały na Cnoyny, do matki. Tymczasem Tosiak nie dał spokoju dziewczętom. Zaprosił na spotkanie w Grandce.  
Od tej — nieudanej zresztą randki zaczyna się nowa seria przygód naszych bohaterów. A więc najpierw Geograf namawia Magdę do kontynuowania nauki. Kostek, syn Geografa, zakochany w Magdzie, zaprasza ją do Domu Kultury na zabawę. Pojawia się na scenie Narcyz. Wreszcie Mariola znika na całe dnie z domu i to najbardziej niepokoi Magdę.

Nie bylam ciekawą — jaka jest różnica pomiędzy pijanym Tosiakiem a pijanym Borutą lub Narcyzem. Takie sceny widziałam nie jeden raz w życiu. „Słuchaj, Irena, ja już pójdę” — powiedziałam. „Nigdy w świecie! — zaczęli krzyżeć na przemian Kazek i Tosiak, ale tym razem postanowiłam iść naprawdę. „Dzięki za gościnę” — rzekłam do Ireny. „Kochani — powiedział Lodek. — Mam pomysł. Co byś, Magda, powiedziała, gdybyśmy cię odwieźli taksówką?”. Nie muszę mówić, jak ta myśl przypadła do smaku Tosiakowi. „Ależ oczywiście — zawołał. — Odwieziemy cię, Magda!”. „Można, ale po co?” — odpowiedziałam. Tym razem Irena okazała zdecydowanie. Nie podobał jej się ten pomysł z taksówką. „Dziękuję — powiedziała. — Musiałabym was szukać w izbie wytrzeźwień”. „Po coś ty zaprosiła tych wariatów?” — powiedziałam

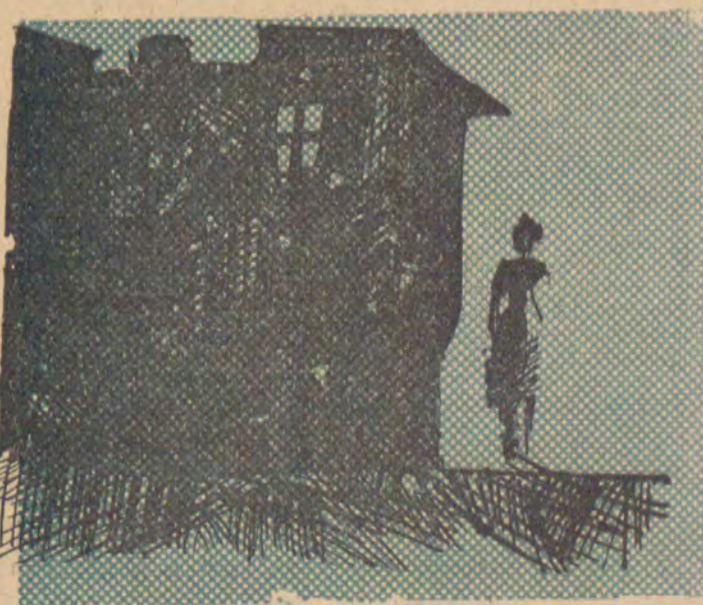
do Ireny przy pożegnaniu. Zirykowały się tylko, nie więcej.  
Gdy znalazłam się na ulicy, zatrzymałam pierwszą taksówkę i kazałam się wieźć na Chojny. Nie odzywałam się ani słowem do szofera, mimo że ten różnie zagadywał. Zła byłam i ko-  
niec. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się okazało, że Mariola znowu mi uciekła. Zapłaciłam szoferowi, dwadzieścia pięć zet uleciało z kieszeni, i jak wariatka pobiegłam do domu. Wpadłam wprost w ramiona Marioli. Całowałam ją i krzychałam: „Ty głupia wariatko!”. Mariola oddawała mi uściski, ale się nie przejmowała moimi krzykami. Kiedy żeśmy się naścisnęły, popatrzyła na mnie spokojnie i powiedziała: „Słuchaj, Magda, nie wiedziałam, że jesteś taka nerwowa”. Przyznałam, że to już mogło wyprowadzić człowieka z równowagi. „Ty głupio!” — powiedziałam — my tu z ciotką nie może-

my sobie dać rady, umiera-  
my z niepokoju, a ty nie raczysz nawet zadzwonić”. Ale Mariola miała na mnie sposób. „Pamiętasz jeszcze Szczurę? — zapytała. — Wiedziałam go wczoraj”. „Nie mów, Mariola, To chyba nie możliwe!”. Mówię ci. Nie jestem pewna czy on mnie poznał. Siedziałam naprzeciwko niego w tramwaju. Nie mógł ode mnie oczu oderwać. Patrzył jak ślepa sowa. Widział i nie widział. Ale się nie odezwał. Widać nie mnie nie poznał”. „Na pewno nie poznał. Inaczej by zaczął!” — powiedziałam. — „Lepiej by było dla niego, gdyby nie zaczął!” — odparła Mariola. W tej chwili przypomniałam sobie, że Mariola kiedyś obiecywała, że mu nie daruje. Mówiła tak: „Ja już go wysłędzę, skąd on bierze forsz”. „Słuchaj, Mariola, ty śledzisz Szczurę? — zapytałam. Ale Mariola roześmiała się. Ależ skąd, kochana, niech się nim MO interesuje”.  
Więc w końcu Mariola mnie wykołowała, nie się od niej nie dowiedziałam. Nie zdążyłam się nawet zapytać o jej pracę, ani nie opowiedziałam jej o moich przygodach. Zaczęła się zaraz przebieierać i to w najlepszą bluzkę i spódnice. „Ale teraz już nie pójdziesz, zostaniesz na noc?” — zapytałam. „Pójdę — odparła. — Mam do załatwienia jedną sprawę”. „Nie bujaj, Mariola, Ty kręcisz. Co to za sprawa?”. „Nie bój się nic. Wróć”. „Nie puszcza cię, Mariola — powiedziałam stanowczo. — Albo zawołam ciotkę”. Tym razem rozłożyła się na mnie. „Nie bądź głupia, Magda! Muszę jechać i koniec!”. A jak się zachowywała, wariatka. Obciągnęła na biodrach spódnice, poprawiła bluzkę, żeby pan ją widział, zbierała się

jak na randkę. Może rzeczywiście szła na spotkanie, ale z kim? Ale w ogóle wyglądała fajnie, tak jak kiedyś, kiedy królowaliśmy u Długiego, Boże kochany, gdyby ją teraz Boruta zobaczył. Słowo honoru, babka pierwszej klasy. Zrobiła się na jasno blond, widocznie była niedawno u fryzjera. Bardzo mi się spodobało jej uczesanie, włosy miała przecież krótkie, a tak zrobione, że nie mogłam się napatrzyć. Wpadła na doskonały pomysł, zrobiła sobie nad czołem grzywkę, ale bardzo małą, z płaskiego łoka, który nad uchem przypięła srebrnym klipsem. Strasznie fajny był ten klips, w kształcie przypominał szarotkę. Niech się pan nie śmieje, mówię srebrny, ten klips był taki srebrny, jak my porządne. Chodzi mi tylko o kolor. Brwi sobie uczerniła, ale nieznacznie i górną powiekę przeciągnęła czarnym ołówkiem. Boże święty, gdybyśmy się tak

spotkały we trzy — Mariola, Iśka i ja, wszyscy na deptaku oglądaliby się na nas. Nie chodzi o to, czy ktoś jest ładny czy brzydki, ale czy się umie ubrać. Znałam niejedną ładną dziewczuchę, która robiła na wszystkich odpychające wrażenie. Na przykład Franka, córka naszej sąsiadki, strasznie głupia, naprawdę rysy miała niebrzydkie ale kiedykolwiek ją zobaczyłam, to miałam ochotę natychmiast wsadzić ją do wanny. Mówię panu, okropna małpa. Rzygać się chce na sam widok. Są i takie, na które się powiada brzydki, ale te brzydki nie widać, bo dziewczyna umie zadbać o siebie. Dla przykładu Ceśka, za którą niejednego wariował. Trzeba mieć talent do tych rzeczy. Mariola pod tym względem była pierwszorzędną.  
Tym razem nie dałam się zwieść. Ciotka krzątała się

Dalszy ciąg na str. 10



A FARMER AND CARUSO

Once said Enrico Caruso:  
— No man is so well known as he thinks he is.  
The great singer continued:  
— While motoring in New York state the automobile broke down and I went to a farmhouse while the car was being repaired. I became friendly with the farmer, who asked me my name and I told him it was Caruso.  
The farmer seized me by the hand. He exclaimed:  
— Little did I think I would see a man like you in this kitchen, sir. You are the great traveller, you are Robinson Caruso.

HE WAS LATE

Jack London was late in delivering a story. He promised it a New York magazine.  
The editor wrote the following letter:  
„Dear Jack London, If I don't receive the story within twenty-four hours, I'll come up to your room and kick you downstairs. I always keep my promises.”  
Jack London wrote the following letter:  
„Dear Dick, If I did all my work with my feet, I'd keep my promises, too”.

EIN SPIEGEL

Pablo Picasso bekam einen Besuch. Es kam seine alte Tante. Der Maler begrüßte die ältere Dame sehr herzlich. Er lud sie zum Mittagessen ein.  
Nach dem Mittagessen wollte die alte Tante einige von den Bildern des berühmten Malers sehen. Sie sagte:  
— Das Mittagessen, war sehr gut, mein Junge. Jetzt mußt du mir deine schönsten Bilder zeigen.  
— Sehr gern, — antwortete Pablo Picasso.



Sie gingen in ein anderes Zimmer und der Maler zeigte seiner Tante einige von seinen Bildern. Die Dame war aber nicht zufrieden. Sie sagte:  
— Weissst du, mein Junge, aber deine Bilder gefallen mir nicht. Du bist ein schlechter Maler. Besonders dieses Bild ist sehr schlecht. Es ist schrecklich!  
— Meine liebe Tante, — sagte der Maler. — Das ist doch nur ein Spiegel.

NO TIGERS

My friend said:  
— I used to shoot tigers in Africa and in Spain.  
I said:  
— Nonsense. There are no tigers in Spain.  
My friend answered:  
— Right you are, I shot them all.



EIN RUHIGER MANN

Ein grosser Sturm bewegte die Wellen des Meeres. Der Wind wehte. Die Nacht war sehr dunkel. Es glänzte kein Stern am Himmel.  
Während dieser stürmischen Nacht segelte ein kleines Schiff und suchte einen Hafen. Es konnte aber keinen finden. Die Nacht war zu dunkel und zu stürmisch.  
Der Schiffskapitän sagte zum ersten Offizier:  
— Wir finden jetzt ganz bestimmt keinen Hafen. Die Nacht ist zu dunkel. Ich gehe also schlafen...  
Nach einigen Minuten kam der erste Offizier zurück. Er war sehr aufgeregt. Er sagte schnell:  
— Herr Kapitän, der Sturm wurde noch grösser! Unser Schiff wird in fünf Minuten unter Wasser sein...  
— Schon gut, schon gut, — antwortete ruhig der Kapitän. — Ich danke Ihnen, mein Freund. Ich werde meine Schuhe nicht mehr ausziehen...





# A CLEVER MAN

One morning a farmer met a man and said:  
— Do you want a job?  
— Yes, I do.  
— Can you give me a good character, then?  
— Yes, I can. It is from Mr. White. My last job was with him.  
— Well, go and ask Mr. White to come here and speak to me. I'll wait here.  
Five minutes passed, ten minutes, twenty minutes, but Mr. White did not come.



Later in the afternoon the farmer saw the boy again.  
He said:  
— Mr. White did not come to me with your character.  
— No, he did not. I did not ask him to come.  
— Why not?  
— I told him who wanted my character and he gave me yours.

# NOCH NICHT

Die Schüler der ersten Klasse schreiben ein Diktat. In der Klasse ist es sehr ruhig. Alle schreiben eifrig. Die Lehrerin diktiert den nächsten Satz:  
— In der Schule lernen viel Kinder.  
Die Schüler schreiben wieder. Die Lehrerin wartet einige Sekunden, dann fragt sie eine Schülerin:  
— Marie, hast du schon „Kinder“?  
Die Schülerin antwortet:  
— Nein, noch nicht.



# PROVERBS AND SAYINGS

Every man has his hobby-horse.  
\* \* \*  
A good beginning is half the battle.  
\* \* \*  
Business before pleasure.  
\* \* \*  
Deeds are louder than words.



# SPRICHWÖRTER

Viele Hände machen der Arbeit schnell ein Ende.  
\* \* \*  
Unkraut verdirbt nicht.  
\* \* \*  
Den Esel erkennt man an den Ohren,  
an den Worten den Toren.



## Dalszy ciąg ze str. 9

gdzieś na końcu ogrodu, ale nie wołałam ciotki, Mariola i tak by nikogo nie usłuchała. Więc się niby pogodziłam z jej wyjściem, ale śledziłam każdy jej krok. „Magda, masz forse? Potrzeba mi parę dych”. „Na co ci forsa? — powiedziałam, ale wyjęłam z torebki pięćdziesiątkę i dałam jej. „Dzięki, oddam ci”. „Obejdzie się, oddaj Tośkowi, to jego”. „Fajno jest” — powiedziała i pocałowała mnie w policzek. „Pa, kochanie!”. „Pojadę z tobą” — zaproponowałam. „Ależ naprawdę nie ma sensu” — odparła i wyszła. Zaczekałam chwilę, i wybiegłam za nią. Wie pan, postanowiłam ją śledzić. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, że Mariola może mieć przede mną jakieś tajemnice. Wydawało mi się dotychczas, że znam wszystkie myśli Marioli. Niech się pan nie uśmiecha. Ja wiem, musiałam strasznie głupio wyglądać. I w ogóle moja wyprawa może była pozbawiona sensu. W każdym razie nie zostałam w domu. I przysięgam, że gdyby się jeszcze powtórzyła ta sama sytuacja, z pewnością postąpiłabym tak samo. Może mnie teraz pan nazywać głupią.

Musiałam bardzo uważać, żeby mnie Mariola nie zauważyła. Szłam za nią jakiegoś dwadzieścia kroków. Kiedy ludzi było mniej, zatrzymywałam się w pierwszej lepszej bramie. Potem

znowu ją doganiałam. Mariola była cholernie zgrabna, mówiłam to nieraz, nie ma więc potrzeby powtarzać tych komplementów. Pan ja zresztą pozna, więc sam oceni. Powiem tylko, że chłopaki na ulicy oglądali się za nią. Mariola z pewnością wiedziała, że chcą ją przegadnąć i dlatego nie oglądała się za siebie. To mi sprzyjało, ale nie mogę powiedzieć, że byłam spokojna. Doprowadziłam ją w ten sposób do Placu Niepodległości. Miałam stracha, bo gdyby wsiadła do taksówki, musiałabym chyba wracać do domu. Ale nie, zaczęła na piątkę, więc i ja wsiadłam do drugiego wagonu. Nie będę pana nużyć opisem tej jazdy. Mariola wysiadła przy Tuwima. Zatrzymała się z minutą na przystanku, potem wolnym krokiem poszła w kierunku Narutowicza. Rozglądała się przy tym dokoła, więc spodziewała się kogoś spotkać, nie domyślałam się kogo. Można było różne rzeczy przypuszczać. Szłam teraz za nią krok w krok i już nawet się nie kryłam. Postanowiłam sobie, że gdy się odwróci, to dojdę do niej, i zmuszę ją, żeby mi wytłumaczyła, co to wszystko ma znaczyć.

Powiem, jak się ta heca skończyła. Mariola przystanęła przy murku, na przeciwko cerkiewki. Pan wie, przy Kilińskiego stoi taka cerkiewka. Powiedziałabym, że romantyczna. Ilekroć tamtędy przechodzę, zawsze się przy niej zatrzymuję. Ciotka, która zna Łódź, jak własną kieszeń, opowiadała mi dużo o tej cerkiewce. Różne rzeczy, może o tym przy innej okazji. Dla ciotki to było najważniejsze, że przy tej cerkiewce umówiła się na pierwszą randkę. Okropnie śmieszne, kiedy starsi opowiadają o swoich

randkach. Ale kiedy to było? Aż wierzyć się nie chce, że, jak mówiła ciotka, dawniej rósł tam las. I że był czas, kiedy Dworzec Fabryczny stał poza miastem.

Ale do rzeczy, jak mówił mój adwokat na rozprawie. Mariola zatrzymała się przed tą cerkiewką i ja stanęłam przy pierwszej alejce. Zapamiętałam nawet chwilę, dzwony uderzyły, w cerkwi odbywało się jakieś nabożeństwo i mnóstwo kawek i wron wleciało nad ulicę. Mówiłam już, że okropnie lubię przyrodę, piaki i drzewa, więc to krakanie wron było bardzo przyjemne dla ucha. Może ktoś się dziwi, że wrona ma przyjemny głos, ale tak jest. Ale nie uwierz pan, co nastąpiło, o mało nie upadłam z wrażenia. Nadjechała warszawa i nawet się nie zatrzymała, zwołnia tylko bieg, ktoś od wewnątrz uchylił drzwiczki i Mariola wskoczyła do środka.

Wie pan, różne chwile przeżywałam, i z Borutą, z Narcyzem, z Mariolą, i z Tata, potem na sądzie, i w więzieniu, nieraz się źle czułam, ale myślę, że to było jedno z najgorszych moich przeżyć. Przygoda z tym głupim Tośkiem, to bedłka w porównaniu z tym, co teraz przeżywałam. Co tu mówić! Byłam zdruzgotana. Mariola mnie urządziła jak nigdy. Dokąd i z kim pojechała? Niech mi pan wierzy, nie podejrzewałam ją o brudne sprawy. A jednak mnie to bardzo niepokoiło. Chyba z pół godziny stałam jak głupia na chodniku. Aż ludzie zaczęli się na mnie oglądać.

Chciałam trochę odpocząć, bo dzień miałam, jak pan widzi, bogaty w wydarzenia, więc wstałam do Polonii na kawę, ale długo tam nie siedziałam. Diabli mnie brali, bo jakiś podłyśły bubeł

wywalił na mnie galy i zaczął mrugać. Odwróciłam się od niego i natknęłam się znowu na dwie fładry, które siedziały przy sąsiednim stoliku i oglądały mnie jak małpę na wystawie. Widziałam, że obgadują mnie na całego. Popatrzyłam na nie bezczelnie, ale one zaczęły chichotać jak idiotki, dobrze się tutaj czuły, jakby były właścicielkami kawiarni. Z pewnością miały obstawę. Kelnerka doszła do mojego stolika i zamówiłam pół czarnej. „Łody nie?” — zapytała. Cholernie mnie irytują takie pytania. Jeśli zamawiam kawę, to znaczy że tylko kawę. „Nie” — odpowiedziałam ostro. Myślałam, że kelnerka mnie złoży, ale za minutę stała już przede mną kawa, wypilaam szybko i wyszłam. Te idiotki śmiały się na głos.

Nigdzie już nie wstępowałam, byłam zmęczona i jak najszybciej chciałam znaleźć się w domu. Pan się zdziwi, co teraz pan usłyszy. Po raz pierwszy chyba od czasu dzieciństwa pomyślałam o tym, że przecież mam swój dom, inaczej nie traktowałabym domu ciotki, i że w tym domu jest ciotka, której mogę się zwierzyć. Nie dziwi to pana? Więc niech pan przyjmie do wiadomości, że mówiąc to, nie rozczulam się i niech się pan nie spodziewa, że będę płakać.

Zajechałam więc do domu, ciotka była mocno zaniepokojona, że tak długo mnie nie było. „Ciociu! — powiedziałam. — Mariola jest kretynką”. „Co znowu?” — zapytała ciotka. Więc opowiedziałam jej wszystko. „Czemuś mnie wtedy nie zawołała?” — krzyknęła ciotka. „Ty byś ją znowu zatrzymała!” — powiedziała. — „Kto by ją zatrzymał!”. „Boże święty, nie mo-

gę tego pojąć” — zawołała ciotka.

Nazajutrz wstałam późno, około dziesiątej. Ciotka była już w pracy. Zaledwie zdążyłam posprzątać, kiedy odezwał się dzwonek od furtki. Pan nie uwierzy, na ulicy stał posłaniec z różami owiniętymi w celofan. Zupełnie jak w powieści. „To chyba nie do mnie” — powiedziałam. „Do pani” — odparł chłopak sprawdzając ponownie adres na bilecie. „Niech pan pokaże ten adres” — wzięłam od niego kopertę i otworzyłam ją. „Jednak Milej Jill z przeprosinami”. Podpisu nie było, ale wiadomo, od kogo te róże pochodziły. Oczywiście, proszę pana, nie studiuję „Przekroju”, żeby wiedzieć, jak się w takich wypadkach zachować. To jest mi zupełnie obojętne. Ale diabli mnie wzięli na takie błazństwo. Zatrzasnęłam furtkę i

D. c. n.







Mamy okazję przedstawić naszym czytelnikom po raz drugi Valerię Moriconi, włoską aktorkę filmową, telewizyjną i teatralną, której sława — dzięki podobno rzadko spotykanemu talentowi dramatycznemu, rośnie z dnia na dzień i wykracza poza granice Włoch.

## NASZ WYWIAD

# Z Jadwigą Piątkowską



Pani Jadwiga Piątkowska jest najstarszą (oczywiście stażem) spikerką Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego. Ukończyła studia ekonomiczne i od pięciu lat zapowiada ze swadą i wrodzonym wdziękiem program telewizyjny.

— Jaki program zapowiadała Pani po raz pierwszy?  
— Niech pan sobie wyobrazi, że był to wywiad... z kolarzem podczas Wyciągu Pokoju.

— Jakie audycje najchętniej Pani zapowiada?

— Takie, w których i ja mam coś do powiedzenia.

— Cienie pracy spikera?

— Jest się ciągle na cen-zurowanym. I z tym się trzeba liczyć nie tylko podczas zapowiedzi, ale i na ulicy, w kinie, w teatrze itp.

— A blaski?

— Są także, choćby sama świadomość dużej odpowie-

dzialności i w pewnym sensie atrakcyjność.

— Czy często ogląda Pani program telewizyjny?

— Tylko podczas dyżuru.

— A które audycje Pani wyróżnia?

— Przede wszystkim Teatr Telewizyjny i Klub Myszki Miki.

— Ale tak naprawdę, co Pani najchętniej lubi oglądać?

— Tak naprawdę, to interesuje mnie jak inni spikerzy zapowiadają, jak się zachowują na ekranie.

— Jaka jest zawodowa maniera spikera?

— Myślę, że chyba spoglądanie na zegarek. Przynajmniej, jeśli o mnie chodzi. To nie znaczy jednak wcale, że jestem punktualna.

— Dlaczego w TV jest więcej spikerów niż spikerów?

— Podobno telewizywie chętniej oglądają kobiety.

Na Zachodzie na przykład spikerami zapowiadającymi są wyłącznie kobiety.

— W co Pani radzi ubierać się kobietom wybierającym się na występ do Studia Telewizyjnego?

— Przede wszystkim skromnie i bez kapelusza. A jeśli chodzi o kolor, to najbardziej telewizyjny jest niebieski i czarny. Z tym, że czarny w połączeniu z białym wychodzi bardzo źle i takiego zestawienia kolorów należy raczej unikać.

— Jakie warunki powinien według Pani spełniać dobry spiker?

— Must być przed wszystkim wizerunkowo czyli na co dzień tzw. fotogeniczny, poza tym musi mieć miłą powierzchowność — sporo wdzięku, swobody bycia, szybki refleks, dobrą dykcję i przyjemny głos.

Rozm.: K. BADZIAK

## Radzimy obejrzeć

Niestety, kanikuła w pełnym tego słowa znaczeniu, i tylko parę zaledwie pozycji z całego wielkiego programu telewizyjnego nadaje się „do polecenia”. Dlatego w czwartek, radzę obejrzeć również i dorosłym kolejny Klub Myszki Miki (godz. 18,15), jako jedyne urozmaicenie w programie, gdyż film kryminalny „Koniec drogi” jest raczej kiepski i emocji nie obiecuje (godz. 20,40). Z publicystyki zapowiada się ciekawie program katowicki „Kropla na wagę złota” (godz. 20).

W piątek, kolejny odcinek filmowy z serii „Przygody Wilhelma Tella — „Tajemnicza śmierć” o godz. 18,25, a o godz. 18,55 Wszechnica Telewizyjna w cyklu „Ziemia, nasza planeta” przedstawi film amerykański „Tajemnice lodu”. Miłośników sportu telewizja usatysfakcjonuje o godz. 20 spotkaniem przed kamerą z wybitnymi polskimi lekkoatletami. Gusta wszystkich telewidzów, nawet najbardziej wybrednych, powinna zaspokoić świetna komedia amerykańska wybitnego reżysera, Franka Capry: „Pieniądze to nie wszystko” (godz. 20,30).

Sobota mocno nieatrakcyjna. Poza transmisją z Budapesztu „Aidy” Verdiego — uwaga, melomani! A oto wykonawcy: soliści Teatru Narodowego w Seged, soliści Opery Budapeszteńskiej oraz Mediolanńskiej „La Scali” — o godz. 20,50 — program przewiduje ponadto film radziecki „Ludzie na moście” (godz. 17,20). Na szczęście, niedziela już nieco lepsza: zobaczymy „Niedzielną Biesiadę” o godz. 15, zaraz po niej — ciekawy koncert pieśni i tańca bardzo dobrego Zespołu Ziemi Skierniewickiej, o godz. 16,10 „Disneyland”, o godz. 17 teleturniej „20 pytań”, i wreszcie o 17,50 słynny film produkcji włosko-francuskiej: „Wielki, błękitny szlak”

TELEMAN

# TELE Wizja UDANE SPAZMY

Tak się ostatnio złożyło, że co spektakl teatru TV, to komedia, na dodatek wygrzebana z lamusa. Prawda, sezon ogórkowy, więc należy ludzi szczególnie intensywnie zabawiać. Ale pomimo tego jednostronnego repertuaru, nie ma specjalnych powodów do narzekania. Nawet „Paryżanka” H. Becque’a z telerecordingu, chociaż może posłużyć jako klasyczny przykład polityki sezonowo-ogórkowej, bawiła doskonale, co jest oczywiście zasługą aktorów, a szczególnie Danuty Szaflarskiej.

Podobne zasługi należy przypisać i wykonawcom komedii Wojciecha Bogusławskiego „Spazmy modne”. Pamiętając zaś, że trwa czas letni, ostatecznie można nawet przyklasnąć samemu pomyslowi wystawienia tej sztuki, ponoć jednej z najlepszych z repertuaru Bogusławskiego. No cóż — satyra zwietrzała mocno, konflikt zupełnie niewybredny, lecz na bezrybiu i rak ryba. Ta komedia Bogusławskiego oryginalnością, niestety, nie grzeszy. Nie grzeszy też zbyt dobrym dowcipem. Oparta na powszechnie stosowanym przez autorów Oświecenia schemacie: sarmackie „morale” przeciwstawia modnemu w „wyższych” sferach wzorcowi obyczajowości francuskiej. Stąd konflikt. Żona Hrabiego romansuje z przyszłym mężem swojej siostry, a ta z kolei z jej mężem, ot, i cała sztuka. Raczej więc sztuczka. Jednak zabawa była dobra, chociaż miejscami odnosiło się wrażenie, że reżyser, Bohdan Truhan, przejął się na serio perypetiami wymiennych kochanków. Na szczęście, te miejsca tuszowali inteligentni aktorzy i świetna, kpiarska scenografia X. i R. Zaniewskich.

# Duże „C”

Można się sprzeczać: jak duże jest to „C”? Z jednej strony bardzo duże, a z drugiej — wcale nie, takie sobie zwyczajne, ludzkie „C”. Bo i co nadzwyczajnego znajduje się w takich faktach, ktoś uratował tonącego z rzeki, ktoś inny, z narażeniem własnego życia wyciągnął dziecko spod przewodów wysokiego napięcia. Bohaterstwo? Z pewnością. Ale przede wszystkim normalny, ludzki odruch niesienia pomocy. Tak przynajmniej ocenili siebie bohaterowie audycji „Duże C”. Tylko, że to właśnie ich skromność skłania mnie do zajęcia stanowiska pierwszego, i tak oto znalazłem się w kropce. Na szczęście, filozofia, to nie dziedzina Kowalskiego, który uprzedmiotwiając sobie własne możliwości w jej zakresie — oddycha z ulgą. Toteż nie będę się zajmował kwestią — bohaterstwo czy zwyczajna sprawa — nie wyszedłbym z tego. Wpadłbym może w modny dziś kompleks, czyli chorobę nerwicową. O, co to, to nie. Ja mam dzieci.

Rozpoczęty niedawno cykl publicystycznych audycji Pacha i Kamińskiego „Duże C” posiada mnóstwo zalet. Przede wszystkim — swoją wielką wymowę humanitarną. To się specjalnie cenić powinno w naszych zracjonalizowanych i spoliotechnizowanych czasach. W każdym z nas po obejrzeniu audycji o wielkich „C” (czyli po prostu — człowiek, proszę państwa), muszą obudzić się pewne refleksje. Przyjemnie jest dość do wniosku, że jednak trafia się tu i tam duże C. W nawale zwykłych spraw nie

mamy czasu na wyszukiwanie, co tam, nawet na dostrzeżenie bohaterstwa ani bohaterów. Prawdopodobnie często zapominamy, że tacy jeszcze istnieją. Czasu nie starcza nam nawet na świadczenie zwykłych uprzejmości wzajemnych, na małe słówko „dziękuję”, „przepraszam”, na potoczną kulturę współżycia, zachowania, na ustąpienie starej kobiecie miejsca w tramwaju, na przeprowadzenie niewidomego przez jezdnię — wszyscy się nieustannie śpieszymy, a tu, proszę znaleźć się ktoś taki, kto naraża własne życie dla uratowania cudzego. Dziwne, ale prawdziwe.

Wielkie „C” budzi refleksję i zastanowienie. Właściwie można tylko banalnie stwierdzić — bardzo piękna jest ta audycja o człowieku. Jednak i ona ma swoje mankamenty. Pierwszy jest małe: sam sposób dowiadzywania się o dużych „C”. Nie sugeruję tu TV, broń mnie Panie Boże, wynajmowania prywatnych detektywów, ale... ale TV powinna przereklamować swój apel, który, jak dotąd, przedstawiał się mniej więcej tak: „piszcie do nas o swoich wielkich czynach”, co brzmiało: „reklamujcie nam swoje własne duże „C”. O wiele taktowniej byłoby, aby ktoś neutralny zgłaszał duże „C”.

A już grubym nietaktem jest kwestia tak zwanych darów społecznych, zgłaszanych „na gorąco” w trakcie audycji. W ostatniej, warszawiacy pokazali, co umieją. Kultury im nie brakuje. A jednak potencjalnym

sprawcą kompromitującego i chuligańskiego wręcz zachowania była sama TV. Przyczyną stał się telefon, zainstalowany przed kamerą, który czekał na zgłoszenie od społeczeństwa darów dla „C”. Ten pomysł obniżał wartość audycji, co widać było: podważał istotę przedstawianego bohaterstwa. Bo jakto — datki w zamian za duże „C”? Ekwivalent materialny? Zapłata? — Coś bardzo, ale to bardzo nie tak, jak być powinno. Sprawa podziękowania w takiej czy innej formie jest sprawą dobrowolną, i w żadnym wypadku nie może rozgrywać się publicznie. Gdyby to chodziło o kwiaty. Ale w ostatniej audycji wystąpił... akordeon. Obawiam się, że już w następnej audycji „bohaterów” przekroczy poważnie wszelkie nadzienie; tylko frajer by nie skorzystał z podobnej okazji. Nie dosyć, że wychodzisz na takiego, co w telewizji bohatera gra, ale jeszcze ci „pospełniają twoje marzenia”.

Rozumiem, że intencje realizatorów były zgoła inne. Ale najlepszym dowodem przeciwko nim okazały się niewybredne kawały telefoniczne warszawiaków. Chyba wszyscy poczuliliśmy nieco zawstyżenie. Niezbyt przyjemnie jest przekonać się, jak to ludzie potrafią samych siebie nie szanować.

KOWALSKI



## KOMU SŁUŻY TA GWARANCJA

Słowo gwarancja w odniesieniu do kupionego telewizora, pralki, względnie innych „gwarantowanych” przedmiotów utraciło u nas swój sens i stało się zaprzeczeniem tego pojęcia. W solidnych stosunkach handlowych, gdy wytwórca daje np. roczną gwarancję, znaczy to, że gwarantuje, iż wyprodukowany przez niego artykuł jest dobrej jakości, i co najmniej przez rok będzie służył dobrze klientowi. Oczywiście, w grę nie wchodzi jakaś obłudowa śrubka czy inny drobiazg, łatwy do natychmiastowego usunięcia. A gdyby jakaś poważniejsza wada? W takim razie z powodu niedotrzymanego zobowiązania, udokumentowanego kwitem gwarancyjnym — producent zamienia kiepski artykuł na dobry albo zwraca pieniądze. Taki jest w świecie handlowym powszechnie przyjęty sens gwarancji. I to gwarantują normy prawne.

Tymczasem — jak świadczą listy nadsyłane do redakcji łódzkich przez nabywców niektórych „gwarantowanych” artykułów — dzieje się u nas zgoła inaczej. Na przykład telewizory. Niektóre „wysiadają” niekiedy bezpośrednio po kupnie. Co wtedy? Wtedy zazwyczaj nabywca rozpoczyna rozpaczliwy bieg od sklepu do punktu naprawy, stąd do dyrekcji i tak w kółko. Wprawdzie nie może zrozumieć, dlaczego z nową rzeczka kupioną za kilka tysięcy złotych ma iść do punktu naprawy, ale nie pomaga skargi i prośby. Musi słuchać!

Sięgniemy do jednego z wielu przykładów: P. Lesław S. kupił przed 6 miesiącami telewizor. Aparat wedrował z domu do punktu naprawy i z powrotem 6 razy! Nie dość, że „utopił” kilka tysięcy złotych, ale na domiar tego za posiadanie telewizora, którego w gruncie rzeczy nie posiada (jest częściej w naprawie niż w domu) musi wносить każdego miesiąca opłatę 40 zł.

Formalnie wszystko jest w porządku. Resort handlu taką właśnie procedurę postępowania ustalił ze sprzedawcami przedmiotami zaopatrzonej gwarancją. Długa i ciemista jest droga klienta, zanim uzna, że artykuł jest istotnie zły i trzeba go zamienić lub zwrócić pieniądze.

Nie możemy pogodzić się z taką procedurą postępowania w handlu społecznym.

Przecież ten sam resort stosuje inne normy w odniesieniu do artykułów nie zaopatrzonych gwarancją. Jeżeli bowiem okaże się, że sklep sprzedał np. wadliwy towar, kiepską węgla, nie dobry serdelek czy zepsuty dżem — ma obowiązek, zgodnie z obowiązującym zarządzeniem władz handlowych zamienić taki „nie-gwarantowany” artykuł na dobry lub zwrócić pieniądze.

Może by więc warto było podnieść „gwarantowane” artykuły do rangi np. serdelki?

W końcu — zastanówmy się: komu służą tak pojęte gwarancje? Przecież nie klientowi.

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto: A. Kobylński

## „Wybrzydzucze”

W lipcu br. 20 rodzin mieszkających w suterench Śródmieścia, a znajdujących się w pierwszej kolejności na listach przydziałów nowych mieszkań, odmówiło ich przyjęcia. Motyw: niemożność bądź niechęć zapłacenia kaucji i to, że nowe mieszkania im nie... odpowiada. O ile godne uwagi i rozważyć w poszczególnych przypadkach motyw pekuniarny, o tyle nie do przyjęcia są motywy ze sfery gustów, będące nader często zwykłym wybrzydzeniem i wymaganiami Bóg wie czego. Ludzie uważają, że skoro „Gomulka powiedział”, iż trzeba wyprowadzić ich z suterenu, to należy im się to, czego ich dusza zapagnie. Tymczasem krawiec, czyli kwaterunek, kraje, jak mu materiału stała, a z tym już ludzie mniej chętnie się liczą. W ogóle wbrew przewidywaniu akcja wyprowadzania lokatorów suterenu natyka na ich opory. Cóż przyjdzie chyba korzystać z noweli do art. 48 prawa lokalowego, przewidującej przymusowe przekwaterowanie, a także z uchwały Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi ustalającej, iż kto dwukrotnie odmówi przyjęcia proponowanego mieszkania, zostanie przesunięty w listę kolejności na dalsze miejsca.

## Wynalazca

W numerze „Głosu Robotniczego” z dnia 2. 8. br. ukazała się następująca notatka:

### MODA NA PRZEBRANZAWIANIE SKLEPÓW

Jeden ze sklepów przy ul. Środkowej zmienia co parę miesięcy „branżę”. Najpierw prowadził sprzedaż artykułów spożywczych, później nabiałowo-piekarniczych, ostatnio — cukierniczych, a w tych dniach powrócił do swej pierwotnej branży — spożywczej. Dokonana obecnie zmiana wiąże się z otwarciem sklepu delikatesowego przy ul. Emilii Plater.

Przebranzawianie sklepów, nie zawsze uzasadnione, przynosi przedsiębiorstwu pewne straty. Na ogół rodzaj sklepu zmienia się z polecenia zjednoczenia, względnie Wydziału Handlu. Czy moda na przebranzawianie sklepów nie staje się już chorobą?

W związku z powyższą notatką „Odgłosy tygodnia” otrzymały następującą korespondencję:

„Szanowna Redakcjo, Proponuję utworzenie w „Odgłosach” kącika wynalazców językowych, z nagrodami.

Złoty medal należy się dziennikarzowi z „Głosu Robotniczego” (nr dnia 2. 8. br., str. 6) za „przebranzawianie”. Równocześnie zgłaszam swoją kandydaturę do srebrnego medalu, ponieważ wynalazłem słowo „przeplciawianie”.

Łączę pozdrowienia

JAN PLOWY

Od redakcji: Zgłoszony przez Pana do nagrody wynalazek się przyjął. W rubryce „Co dzień niesie” „Dziennika Łódzkiego” z dn. 10 sierpnia br. przeczytaliśmy o sklepie spożywczym MHD przy ul. Głównej 52, który „przebranzawiono” na „Delikatesy”. Eureka!

## Prometeusz nie dałby rady

Już niedługo polskie stocznie będą musiały z Łodzi dzielić swoje sukcesy produkcyjne. W Łodzi bowiem, a konkretniej w łódzkim Instytucie Włókiennictwa, opracowuje się metodę ognioodpornego wykańczania tkanin dla przemysłu okrętowego. Od przyszłego roku statki nasze będą idealnie niepalne. Poczynając od tkanin dekoracyjnych a na stołowych kończąc.

Już teraz między Warszawą (Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego) a Łodzią (Zjednoczenie Tkanin Bawełnianych i Dekoracyjnych) krąży ożywiona korespondencja w tej sprawie. Pierwsze próby tkanin ognioodpornych wykonanych przy zastosowaniu nowego polskiego środka „Ognioleku”, uzyskanego w Instytucie Włókiennictwa, zdały egzamin. Opracowana przez łódzkich inżynierów i naukowców technologia okazała się tania oraz łatwa w produkcji przemysłowej.

A co najważniejsze — daje pełną gwarancję niepalności tkanin. Sprawdzaliśmy sami. I Prometeusz niewiele mógłby w takich warunkach zdziałać.

# ODGŁOSY

tygodnia

## Gdzie są łodzianie?

Oczywiście wszędzie, pojedynczo spotkać ich można w każdej miejscowości wczasowej, co się dzieje z towarzyszeniem okrzyku: „Jaka ta Polska mała!”. Stadami w tym roku okupują łodzianie Pomorze Zachodnie (głównie Międzyzdroje, Mielno, Pobierowo), a także Władysławowo, Krynica Morską i Sopot. Spotkać ich można licznie na Dolnym Śląsku (głównie Karpacz i Szklarska Poręba) a także w Zakopanem i Krynicy. Najmniej łodzian przebywa na Mazurach.

Ową wielce przybliżoną „geografię urlopową” naszych ziomków ustaliliśmy na podstawie ich... korespondencji. Z wymienionych miejscowości przychodzi „do domu” najwięcej listów a także do nich najwięcej się adresuje. Poczta ma obecnie dwa razy więcej roboty niż normalnie. O ile zwykle liczba listów przychodzących do Łodzi wynosi około 100 tys. na dobę, a tyle w lipcu i sierpniu, podobnie jak w okresach świątecznych — przekracza 200 tysięcy. Rzecz charakterystyczna, iż wśród przesyłek listowych więcej jest listów w kopertach niż pocztówek i wlokówek, co może oznaczać, iż łodzianie lubią uprawiać korespondencję i nie ograniczają się do czczych pozdrowień. A może wiąże się to z tym, iż list w kopercie jest tańszy niż wiodówka?

## Uwaga na bruliony

Wakacje w pełni, dzieciaki jeszcze na koloniach, żadnemu chyba w głowie szkoła. „Ktoś musi nie spać, żeby spać mógł ktoś”, jak mawiał Szekspir, czyli nie ma wakacji dla tych, którym wypadnie stanąć na przeciw nawałnicy, jaka się zaczyna w sklepach tuż przed pierwszym wrzesniem.

W Wydziale Handlu opracowano już szczegółowy plan zaopatrzenia Łodzi w związku z rokiem szkolnym 1962-1963. Ważny to plan, dotyczy bowiem 161.130 osób, nie licząc osób tzn. matek i ojców, którzy w te „wielkie zakupy” będą czynnie i biernie (kieszeniowo) zaangażowani. W oparciu o wspomnianą liczbę uczniów, rozbitą na wszelkie kategorie oszacowaną, określono podaż, zbilansowano nadwyżki i niedobory, poczynając od mundurków, skończywszy na temperówkach i gumkach.

Na ogół wszystkiego będzie pod dostatkiem, niektórych rzeczy wystarczy jednak „pod warunkiem”. Ot, choćby brulionów. Wiadomo, że w związku z eksportem nie mamy za dużo papieru wysokogatunkowego, z którego te bruliony się m. in. robi. W tej sytuacji przemysł, a za nim handel może zaplanować średnio na 1 ucznia najwyżej 2,5 bruliony 100-kartkowe. To znaczy, że jeżeli jeden uczeń kupi sobie 5 brulionów, drugi już nie dostanie ani jednego. Ponieważ uczeń uczniakowi nie równy, (bo pierwszak może się bez brulionu obyć, licealista nie) istnieje w tej mierze specjalne zarządzenie Ministra Oświaty, zabraniające używania brulionów 100-kartkowych w szkołach podstawowych i dopuszczające korzystanie z nich w szkołach licealnych i to dla ściśle określonych przedmiotów. Ponieważ doświadczenie mówi, iż nauczyciele nie respektują należycie tego zarządzenia — niniejszym je przypominamy. Rodzicom, żeby na próżno nie wydawali pieniędzy, nauczycielom, by doceniali potrzebę najczystszej dyscypliny w używaniu obojętnej, bo czym skorupka... Porządek z brulionami niechaj będzie w tym roku pierwszym pozytywnym aktem wychowawczym szkoły.

## Cyrkulacja szkła

W pierwszym dwóch kwartałach bieżącego roku, skupiono od obywateli Łodzi 7.644.300 butelek po wódce, czyli o 637.900 sztuk więcej niż w pierwszym półroczu 1961. Gdyby sudić po skupie butelek, łodzianie najchętniej widzą u siebie na stole półlitrowki, których po opróżnieniu sprzedali w roku bieżącym 3.946.800. Wbrew przysłowiu dopiero na drugim miejscu stawiają „ćwiartki”, których zwrócili po wypiciu w tym czasie po złotówce sztuk 3.179.200. W najmniejszym poważaniu są litrowki, których kupiono od konsumentów alkoholu zaledwie (!) 518.300.

Hipoteza dotycząca gustowania łodzian w wielkości „szkła”, oparta li tylko na danych skupu butelek, jest przybliżona. Chodzi o to, że aktualnie łodzianie więcej sprzedają butelek niż wypróżniają. W tymże półroczu wypili około 2.492.000 l. „czystej”, co w rozbiórce na poszczególne miary nie daje liczby butelek na wstępie wymienionej. Wynika z tego, że korzystając z rozwiniętej ostatnio akcji skupu „szkła”, nasi współobywatele upłynniają dawniejsze rezerwy.

Na co idą miliony zainkasowane za butelki, ustalić nie sposób. Dostawcami punktów skupu opakowań szklanych są często dzieci, więc założmy, że część tych zawrotnych sum idzie na cukierki. Nie należy do wyjątków, że dorosli zamieniają 24 próżne ćwiartki na jedną pełną, oszczędzając w ten sposób na budżecie rodzinnym. Marna to oszczędność, ale zawsze.

Jeżeli chodzi o przemysł spirytusowy, to ten chętniej niż dawniej kupuje używane butelki, czym należy tłumaczyć tak wydatny wzrost ich skupu. W skali narodowej oznacza to niemałe oszczędności. Zobaczymy, czy równie powiedzie się akcja skupu czystego piczywa, zainaugurowana i lansowana ostatnio.

Redaguje Zespół \* Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 \* Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. \* Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca \* Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” \* Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwiń 17 \* Zam. 2331. VII. 62. A-6